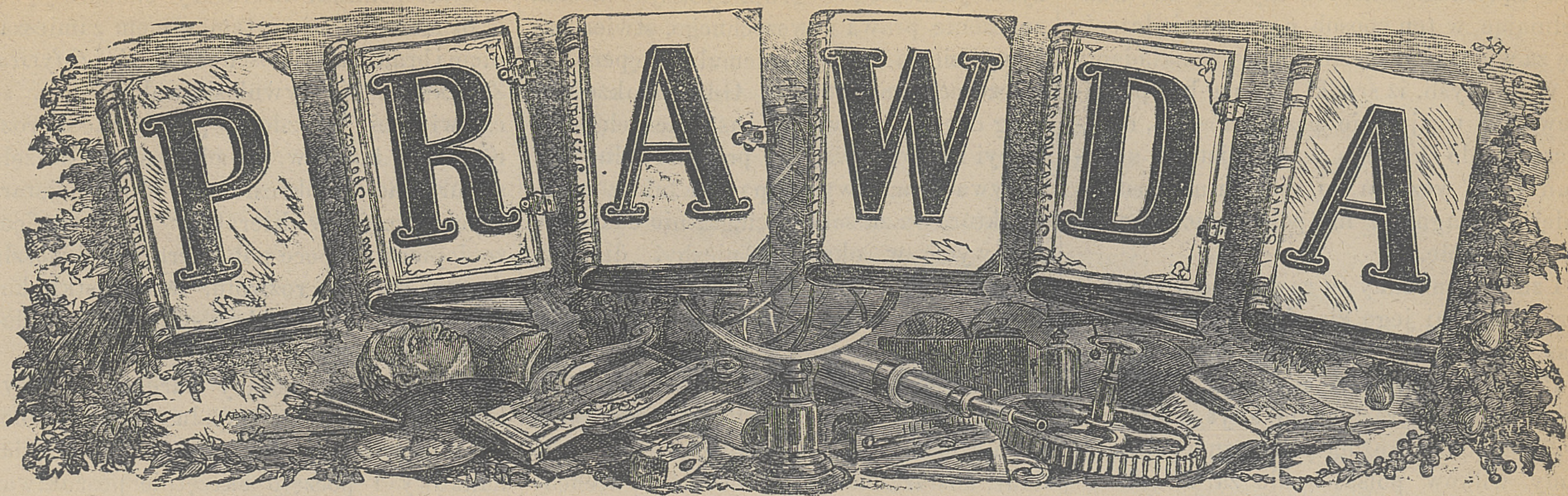
№ 15. Warszawa, dnia 9 Kwietnia (28 Marca) 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

CZEGOŻ JESZCZE?

Jeżeli ustawiczne objawy lojalizmu polaków w każdym ich odłamie zestawimy z przypisywanemi im dążeniami rewolucyjnemi, wyniknie kontrast, zdolny rozśmieszyć wszystkich bogów Olimpu. W ostatnich tygodniach, jak wiadomo, języki oszczercze najemnie lub własnowolnie zaczęły zwilżać swą jadowitą śliną nihilistyczne proklamacye i przyklejać je na polskim patryotyzmie. Jednocześnie na kilku punktach zwykły lojalizm naszych współbraci złożył takie dowody swej stanowczości, że warto się nad nim zastanowić.

Nie zamierzamy tu bynajmniej fałszywym śladem tyle śmiesznej, ile poczciwej taktyki wielu pism wieńczyć naszego społeczeństwa i naszego plemienia blaskami wyjątkowych cnót i wykazywać, że ono tylko jest do pewnych objawów niezdolnem przy żadnych warunkach. Chcemy jedynie podkreślić obecny stosunek polaków do idei królobójstwa.

Pomijając szczególny wpływ naszej historyi, w której sam ustrój państwowy usuwał racyę wszelkich tego rodzaju pokuszeń, zastanawiającym jest fakt zachowania się swobodnej opinii polskiej wobec ostatniej katastrofy. Jakkolwiek cała Europa odpowiedziała zgrozą na śmierć Cesarza Aleksandra II, we wszystkich prawie główniejszych krajach odezwały się szybko stłumione oklaski dla sprawców strasznej tragedyi. Rewolucyjne za granicą pisemka rosyjskie, niemieckie, francuskie, angielskie, włoskie, duńskie błysnęły morderczem żelazem; tylko dzienniki polskie, bez względu na to gdzie wychodzą, jakie stanowiska polityczne zajmują, co dla Rosyi żywią, nie pochwaliły ani jednem słowem nihilistycznych bomb i podkopów. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że pisma te zagranicą zżyły się z niechęcią do Rosyi, to ich odporna postawa w takiej chwili złoży nam nadzwyczaj wymowne świadectwo lojalizmu publicznej opinii polaków. Do wyrazów tej opinii przybywają dwa świeże fakta z życia parlamentarnego. Telegraf i gazety niemieckie w kilka dni po katastrofie rozniosły wiadomość, że gdy poseł czeski Rieger w wiedeńskiej Radzie Państwa wezwał prezydenta Smolkę do wniesienia kondolencyi z powodu śmierci Cesarza, posłowie polscy oświadczyli, że w takim razie opuszczą salę posiedzeń. Wieść ta tułała się długo po prasie i już wysłużyła się chciwym na taki żer krukom, gdy nareszcie członek Izby wiedeńskiej, A. Starzeński, w liście do *Gołosu* spędził kaczkę z błot dziennikarskich. Wyjaśnił on, że ani poseł Rieger wniosku tego nie stawiał, ani polacy nie protestowali. Wypadek taki jest nawet niemożliwy w ustroju państwowym Austryi. Rada Państwa bowiem nie może występować z inicyatywą w sprawach zagranicznych, do których upoważnione są tylko Delegacye wspólne. Myśl kondolencyi rzeczywiście podniesiono, porzucono ją jednak nie wskutek oporu posłów polskich, lecz wskutek porozumienia się prezydentów Izb z rządem w Wiedniu i Peszcie. „Gdy przed dwoma laty — powiada p. A. Starzeński — z powodu zamachu Nobilinga prezydent Izby Rechbauer, bez uprzedniego porozumienia się z ministrem, wyraził kondolencyę, w najwyższych sferach wzięto mu to za złe i objawiono niezadowolenie, że przekroczył granice kompetencyi Rady Państwa. A przecież wtedy posłowie polscy nie opuszczali Izby i nie robili demonstracyi, co niezawodnie nastąpiłoby i tym razem, bo chyba najzawziętszy wróg nie mógłby nam zarzucić, że mamy więcej sympatyi dla Prus niż dla Rosyi."

Wobec tego wyjaśnienia zaiste można spytać p. Katkowa słowami śpiewki Heinego: „Mój luby, czegóż chcesz więcej?"

Katastrofa 13 marca w połączeniu z podniesioną w Rosyi myślą usunięcia, na drodze międzynarodowych układów, prawa schronienia w niektórych krajach dla królobójców, pobudziła grono posłów niemieckich do pierwszego prawodawczego kroku w tym kierunku. W imieniu tego koła deputowany Windhorst podał w sejmie niemieckim przyjęty już wniosek, ażeby Izba prosiła kanclerza o porozumienie się z innemi mocarstwami co do przyjęcia następujących zobowiązań: 1) każde państwo sprzymierzone karze morderstwo lub pokuszenie na życie władcy państw innych, zmowy w tym celu, chociażby nawet niespełnione, oraz publiczne do niego wezwania i 2) na żądanie rządu interesowanego wydaje przestępców, którzy się tego morderstwa dopuścili. Koło polskie składając swoje głosy za tym wnioskiem, opatrzyło je przez usta ks. Radziwiłła następującem oświadczeniem: „Postępowanie sejmu niemieckiego, wyrażone we wniosku posła Windhorsta, popieramy również i my, polacy, pomimo naszego odosobnionego stanowiska w tej Izbie. Sądzimy, że w tej ważnej chwili, w której pod wrażeniem ostatniego, całą Europę wstrząsającego wypadku podany został ten wniosek, winniśmy głosowaniem naszem wyrazić zupełne uznanie faktu, iż moralność publiczna wymaga, ażeby królobójstwo, bez względu na to z jakiego wypływa obłędu, było zawsze i wszędzie piętnowane i prześladowane jako wzgardy godne wykroczenie przeciwko prawu moralnemu. Korzystamy z tej okoliczności, ażeby odeprzeć zuchwałe wystąpienie pewnych a między niemi nawet w szerokich kołach za urzędowe uchodzących pism, które wyzyskały ten nieszczęsny wypadek dla zniesławienia i spotwarzenia na-

szego narodu i ażeby wystąpienie to poddać pod sąd ludzi uczciwie myślących. Uzupełniając w ten sposób nasze oświadczenie się za wnioskiem, zaznaczamy, że składamy je w tej myśli, iż środki, mające być przedsiewzięte wzajemnie przez państwa, ograniczą się do karania królobójstwa, usiłowań oraz wezwań do niego i nie zostaną dalej rozciągnięte na polityczne przestępstwa wogóle.“

I znowu musimy tu zawołać do p. Pindtera słowami jego ziomka: „Mein lieber, was willst du noch mehr?“

Pytanie to nie jest jedynie żartobliwym szczutkiem, odtrącającym zbyt czujne nosy, tropiące w każdej politycznej obławie ślady wilków polskich, ale zarazem kwestyą poważną: czego istotnie chcą jeszcze więcej dziennikarskie ogary, ażeby ucięły i przestały nas gonić? Polak nie spiskuje, mordów nie chwali; więc cóż ten biedny polak ma robić, ażeby go bismarkowski wyżeł nie wystawiał? Powinien on sobie zapewnie powiedzieć, jak zając: nie dość siedzieć przyczajonym pod miedzą, niedość bać się najdrobniejszego szmeru liści na drzewie, trzeba ginąć dla nakarmienia swem mięsem myśliwego. Rozumiemy ten wyrok. Gdyby nawet polacy byli chórem niewinnych cherubów, dopóki żyją, dopóki mają własną sferę, w której rozpinają swe skrzydła, dopóty nie zamknie się wiecznie na nich rozwarta paszcza niemiecka. Mamy jednak nadzieję, że polski Jonasz nie zginie we wnętrznościach germańskiego wieloryba.

POCZUCIE BARW

w świetle teoryi rozwoju.

Teorya rozwoju, szczęśliwie wznowiona przez Darwina i nowymi a zwycięzkimi przez niego poparta argumentami, dawno już przekroczyła ciasne granice zoologii, a stosowana do najróżnorodniejszych zjawisk świata zmysłowego i umysłowego, do życia jednostek i grup, zyskuje zwolna znaczenie prawa powszechnego, stwierdzającego się za każdym niemal postępem nowoczesnej umiejętności. Gdy wszakże według dotychczasowych, zasadniczych pojęć teoryi rozwoju wszelki proces ewolucyjny odbywa się nadzwyczaj powoli tak iż zmiany, które on za sobą pociąga, nie dadzą się pochwycić w okresach niezbyt długich; powstało w ubiegłem trzechleciu dość rozpowszechnione mniemanie, jakoby proces ten można było — że tak rzekę — podpatrzeć na gorącym uczynku w przemianach, jakim przypuszczalnie podlegał organ wzroku u człowieka. I tak sądzono, że pewne dane, dostarczone przez filologów i archeologów, w połączeniu z niektórymi faktami z nauk przyrodzonych, uprawniają do wniosku, iż zmysł odróżniania barw (chromatyczny) powstał i wykształcił się u człowieka dopiero w epoce historycznej, i że ród ludzki posiada go nie dłużej jak 3000 lat z górą. Co więcej, starano się nawet ustalić chronologię historyi tego zmysłu przez oznaczenie głównych jej okresów oraz przewidzieć przyszłe jego losy.

I.

Obecny prezes ministrów w Anglii Gladstone, głośny znawca Homera, pierwszy przygotował przed laty dwudziestu grunt pod tę hypotezę, zrobiwszy spostrzeżenie, że w poematach Homera, odznaczających się żywością i plastycznością obrazowania, barwy, które przecież w tak wysokim stopniu przedmioty ożywiają, są najzupełniej zaniedbane a nazwy ich chwiejne. Spostrzeżenie to wywołało bardzo ożywioną dyskusyę między filologami i archeologami; wszakże cała sprawa nie schodziła z gruntu specyalnej filologii homerowej aż do chwili, kiedy Lazarus Geiger, znany autor dzieła o rozwoju rozumu i mowy ludzkiej, metodę porównawczą do niej zastosował. Uczony ten, przez porównanie epopei homerowych z innymi piśmiennymi utworami odległej starożytności, jak ze *Starym Testamentem* i z *Rig-Wedą*, wykrył, że i te starożytne pomniki literatury odznaczają się w oznaczaniu barw tem samem zamieszaniem i brakiem ścisłości co i *Iliada* i *Odyssea*. Z faktu tego wywnioskował Geiger, że człowiek nie był zdolny pierwotnie do rozróżniania kolorów, że zdolność ta zaczęła się urabiać w okresie powstania najstarszych pomników literatury ludowej, lecz że dopiero w epoce pohomerowskiej doszła do tego stopnia rozwoju, iż wszystkie kolory słonecznego widma stały się dla człowieka dostrzegalne.

Wniosek ten, łączący bardzo ściśle pytanie co do genezy zmysłu chromatycznego z darwinizmem, poruszył żywo świat naukowy i poczęto skrzętnie poszukiwać w literaturze starożytnej nowych dowodów, stwierdzających przypuszczenia Geigera. Odnośna literatura mnożyła się z nadzwyczajną szybkością i nie było prawie pisma peryodycznego, któreby nie uważało za swój obowiązek puścić w świat artykułu, zaznajamiającego szersze koła publiczności z odkryciem tak ważnem dla teoryi Darwina. Zebrano też, dzięki tym pracom, obfity materyał z dziedziny filologii, etnografii i archeologii, popierający, jak mniemano, stanowczo wywód Geigera. Z tem wszystkiem wywodu tego nie można było jeszcze w gruncie rzeczy uważać za odłam teoryi Darwina w nowoczesnem jej pojęciu. Ściśle bowiem rzecz biorąc, w wywodzie tym nie tkwi twierdzenie, że człowiek odbierał pierwotnie wrażenia wzrokowe pod względem jakości identyczne, że zatem *nabył* zmysł chromatyczny dopiero w okresie historycznym i że go w ciągu tego czasu, skutkiem ciągłego ćwiczenia i dziedziczności, wzmocnił i wydoskonalił; lecz tylko, że się *nauczył* jakościowe różnice wrażeń wzrokowych lepiej *oceniać* i klasyfikować. Nie ma więc właściwie w hypotezie Geigera mowy o zmianach fizyologicznych w organie wzroku, o rozwoju wyższych jego form z niższych, coby dopiero hypotezę tę na szerokim gruncie darwinizmu postawić mogło; lecz jest w niej tylko mowa

---

DZIKI TOMEK.

V.

Głos mu drżał, gdy wymawiał te słowa, a jednak zbliżenie jego i pokorne dotknięcie przykre było adwokatowi. Usunął się z żywością.

— Niema o czem mówić — odparł.

Jędras wstrząsnął głową, coś parło go do wypowiedzenia uczuć a nie znajdował słów. Przed równym sobie byłby może potrafił to uczynić, a przynajmniej powiedział coś o tem, że potrzebował powietrza jak ptak leśny, że dusił się w więzieniu, ale ten piękny, młody, wykwintny człowiek, który spoglądał na niego z obojętnym uśmiechem, mroził mu słowa na ustach.

Przychodziło mu do głowy, że on wobec niego był niczem, niczem zupełnie, i to sprawiało mu przykrość nieokreśloną.

— No, Jędrasie — odezwał się wreszcie adwokat — udało mi się obronić was wczoraj, ale to na raz sztuka, pamiętajcie nie zabijać więcej ludzi na drodze.

Mówił to wesoło, w jego mniemaniu wina tego klienta nie ulegała wątpliwości, jakkolwiek ten nigdy nie chciał przyznać, że tak było.

Jędras zbladł i rzucił na niego podejrzliwe spojrzenie. Wszystko, co widział i słyszał, przechodziło jego pojęcie. Dla czego ten człowiek go bronił, skoro wiedział o jego winie? Sprawiało to w jego głowie chaos dziwny, w którym słabo rozwinięta idea sprawiedliwości uległa zupełnemu rozbiciu.

— Ja... szepnął przerywanym głosem ja... wielmożny adwokacie.

Próbował raz jeszcze wyprzeć się swojej zbrodni. Ale adwokat przerwał z uśmiechem.

— Na co próżno gadać, obroniłem was to dość, idźcie w pokoju... i nie zabijajcie więcej.

Jędras jak długi rzucił mu się do nóg i wymawiał bezładne wyrazy, które świadczyły o jego wdzięczności. Wdzięczność należy do uczuć pierwotnych; spostrzegamy ją nawet w zwierzętach. Jędras jak one byłby z roszkoszą całował stopy swego obrońcy.

Prawnik słuchał w milczeniu. Prawdę mówiąc, wdzięczność tego człowieka obchodziła go równie mało, jak on sam. Cóż pomiędzy nimi wspólnego być mogło. Dziękczynienie jego nie przynosiło mu tej radości, jaką niesie za sobą spełnienie dobrego uczynku. Uwolnienia Jędrasa nie można było nazwać dobrym uczynkiem i na dobrą sprawę sam nie wiedział, pod jaką kategoryę je podciągnąć. Spełnił wprawdzie obrończy obowiązek, ale nie był wcale przekonany, by powrócenie pospolitego zbrodniarza społeczeństwu szło na jego korzyść, tem bardziej, iż w całej postawie i wyrazie twarzy tego zbrodniarza nie było widać skruchy żadnej. Można było śmiało przypuścić, że dalej prowadzić będzie swoje rzemiosło, tak jak wilk, wypuszczony na wolność, wilkiem być nie przestanie.

Myśli te przez czas jakiś trapiły młodego prawnika, ale po chwili wzruszył ramionami i próbował zabrać się do swojej roboty. Ostatecznie cóż go to wszystko obchodziło, on zrobił, co do niego należało, a jeżeli sąd dał się pociągnąć jego wymowie, nie mógł się przecież tem martwić.

Kiedy Jędras wyszedł na ulicę, obejrzał się dokoła z rodzajem przerażenia, ciekawości i wstrętu, jakie budziły w nim ludne domy i pełne gwaru, turkotu, ruchu ulice. Wszystko to wprawiało go w obłęd. Ludzie strojni, weseli, dobrze ubrani przesuwali się koło niego. W sklepach, po za lustrzanemi szybami, widział wystawionych mnóstwo przedmiotów; tutaj mieniły się barwiste materye: wstążki, pióra, kwiaty; tam znów błyszczały nęcące cacka, rzucały ognie drogie kamienie, lśniły perły, korale i tyle srebra i złota, iż Jędras patrzał

o *umysłowym* postępie ludzkości ze względu na dokładniejszą i ściślejszą ocenę wrażeń wzroku. W tę nową fazę właściwego darwinizmu kwestyę genezy zmysłu chromatycznego wprowadził berliński oftalmolog prof. Hugo Magnus i Gladstone, któremu też, jak to wyżej zaznaczono, należy się pierwszeństwo w wywołaniu całej tej sprawy. Pierwszy z nich w dziele, wydanem w r. 1877 p. t. *Die geschichtliche Entwickelung des Farbensinns*, a drugi w artykule o poczuciu barw, umieszczonym w październikowym zeszycie z r. 1877 czasopisma *Nineteenth Century*, przekształcili hypotezę Geigera stanowczo w duchu teoryi rozwoju. Najnowszy ten pogląd na genezę zmysłu chromotycznego da się streścić w następujący sposób:

Badając najdawniejsze pomniki literatury ludów cywilizowanych, uderza nas dziwny kontrast między subtelnością i bogactwem wyrażeń, określających natężenie światła, a brakiem ścisłości w oznaczeniu różnicy kolorów i ubóstwem odnośnych wyrazów. Homer ani razu nie nazwał nieba niebieskiem a pola zielonem; natomiast przypisuje barwę niebieską lub fioletową najprzeróżniejszym przedmiotom: tak np. mówi o fioletowem morzu, o fioletowej brodzie Ulyssesa i t. d. Zielony mięsza z żółtym, niebieski z czarnym, a tęczę nazywa purpurową. Jeśli sięgniemy w epokę bardziej jeszcze odległą, a mianowicie do czasów powstania *Rig-Wedy*, spostrzeżemy jeszcze większą niedokładność w określeniu barw i jeszcze większe odnośne ubóstwo językowe. Toż samo tyczy się *Starego Testamentu*, napisów egipskich i asyryjskich. Z drugiej strony, epoki późniejsze wykazują wyraźny postęp w dostrzeganiu różnic kolorów; jakkolwiek cała starożytność aż do czasów Arystotelesa nie dosięgła nawet w przybliżeniu tej subtelności czucia chromatycznego, jaką się odznacza człowiek cywilizowany nam współczesny. Widać to z upodobania starożytnych do kolorów, mających dużo światła, mianowicie czerwonego i żółtego; wynika to z teoryi barw starożytnych filozofów, którzy wszystkie kolory wywodzili z połączenia białego i czarnego w różnych proporcyach; potwierdza to wreszcie i wiadomość, podana przez Pliniusza Starszego, iż malarze używali tylko czterech barw: czarnej, białej, czerwonej i żółtej. Zmiany te, jakie z biegiem czasu powstały w naszem czuciu chromatycznem, znajdują się w ścisłym związku z kolejnym porządkiem kolorów słonecznego widma, oraz ich własnościami optycznemi. Według takiego bowiem porządku stają się kolory dostrzegalne, według jakiego w widmie po sobie następują, t. j. w miarę większej lub mniejszej ich załamliwości, tak, iż najprzód wyłoniło się uczucie koloru czerwonego (skrajnego z lewej strony widma o najmniejszym wykładniku załamania) a najpóźniej fioletowego (zajmującego po stronie lewej widma ostatnie miejsce i mającego największy wykładnik załamania). Widocznie więc, że mamy tu do czynienia z fizyologiczną przemianą przyrządu, przejmującego wrażenia świetlne, odbywającą się według pewnego stałego prawa. Wniosek ten popierają inne okoliczności. I tak: obecnie żyjące dzikie plemiona odróżniają w widmie słonecznem mniej kolorów niż my; chromatyczny zatem ich zmysł pozostał mniej więcej na tym stopniu rozwoju, na jakim się znajdował u ludów cywilizowanych odległej starożytności. Podobnież, dzieci nie odczuwają odrazu wszystkich jakościowych różnic światła; lecz — wnosząc z tego, że kolory, mające wiele światła a więc czerwone, najprzód robią na nie wrażenie — i one przechodzą w tym względzie taki sam proces, jaki przebywała cała ludzkość, ale w czasie nieskończenie krótszym. W końcu, częściowa bezwrażliwość na barwy (daltonizm) należy w związku z powyższymi faktami uważać za atawizm, stanowiący, jak wiadomo, jeden z zasadniczych elementów teoryi rozwoju.

Z tego stanowiska można sobie historyę nabycia i udoskonalenia zmysłu chromatycznego wyobrazić ogólnie w następujący sposób: Pierwotnie świat przedstawiał się człowiekowi jako przestworze bezbarwne, albo raczej — jako niejednostajna mięszanina światła i cienia o najróżnorodniejszem natężeniu jednego i drugiego. W następstwie czasu, wskutek ciągłego oddziaływania promieni słonecznych na siatkówkę, oraz wskutek akomodacyi oka, wytworzyło się obok pierwotnego uczucia natężenia światła uczucie różnic kolorów. Ten nowy nabytek organu wzroku nie nastąpił odrazu, lecz układał się zwolna i różne przechodził fazy. Najprzód więc począł się wydzielać kolor czerwony, odrywając się zwolna od ogólnego uczucia światła bezbarwnego. Literatura ludów starożytnych pozwala z pewną ścisłością odgadnąć tę ważną chwilę, w której wrażenia wzrokowe zaczynają się rozpadać na czysto świetlne i barwne. Chwilę tę należy odnieść do epoki powstania *Rig-Wedy*, w której spotykamy już oddzielną nazwę dla koloru czerwonego, ale jeszcze bez ścisłego i stałego odróżnienia go od białego. Ten pierwszy peryod rozwoju zmysłu chromatycznego doszedł do swego kresu prawdopodobnie w epoce Homera, w której jednocześnie rozpoczyna się drugi peryod rozróżniania kolorów — środnia część widma słonecznego, a więc kolor zielony ze swymi odcieniem zaczyna się od tej chwili wyłaniać jako nowe wrażenie wzrokowe. Podczas bowiem, gdy dla czerwonego z pokrewnym mu żółtym i oranżowym znajdujemy u Homera wyrażenia stałe, obfite i często powtarzane, dla zielonego spotykamy jeden tylko wyraz i to bardzo rzadko używany. Wszystkie zaś inne wyrazy, służące dla oznaczenia pozostałych kolorów, są zupełnie nieokreślone i można je uważać tylko za synonimy ciemnego. Ta nowa faza doskonalenia się poczucia barw trwała prawdopodobnie aż do czasów Arystotelesa. W tym też czasie przypada także początek odróżniania ostatniej części naszego widma, a mianowicie koloru niebieskiego i fioletowego. Ten okres genezy zmysłu chromatycznego trwa jeszcze po dziś dzień; i dziś bowiem trudno nam nieraz, a zwłaszcza przy sztucznym

---

i oczy przecierał, jakby mu się to wszystko śniło.

Świat jakiś obcy i dziwny roztaczał się przed jego oczyma; byłto świat, o którym on w swoich lasach nie miał żadnego pojęcia a który przecież budził jego pożądliwość.

Podobało mu się złoto i barwiste materye, podobały tłuste mięsiwa wystawione w oknach sklepów, nęciła woń wydawana przez restauracyjne kuchnie, nęciły i kobiety o pięknych twarzach, któremi roiły się chodniki. Odzywały się w nim dzikie a potężne instynkta człowieka, niemającego pojęcia żadnego o prawach własności, żyjącego dotąd kradzieżą i rabunkiem.

Nauki, jakie dawał mu adwokat, nie wywarły na nim żadnego wrażenia; przeciwnie, doświadczył sam, że można zabić bezkarnie, i to stanowiło dla niego rodzaj praktycznej zachęty; wychowanie nie nadało mu żadnych pojęć moralnych, a teraz stracił hamulec bojaźni kary.

Nie mógł wprawdzie pojąć, dlaczego go kara ominęła, dlaczego adwokat bronił go tak gorliwie; ale sam fakt nie ulegał wątpliwości żadnej, ponieważ stwierdził go doświadczeniem. I wskutek tego przychodziła mu ochota wyciągnąć rękę po każdy pożądany przedmiot i przywłaszczyć go sobie w ten sam sposób, jak przywłaszczał kury i gęsi sąsiadów, lub pugilares Arona. Rozumiał jednak dobrze, iż pierwszym warunkiem kradzieży była tajemnica, rozumiał, iż jeżeli wydostał się z więzienia pomimo spełnionego zabójstwa, to dlatego, że zabójstwo nie miało świadka żadnego. Miasto było mu coraz więcej wstrętne. A przytem na każdym prawie rogu ulicy spotykał policyantów, żołnierzy, czasem żandarmów, którzy od czasu zatargu ze sprawiedliwością budzili w nim mimowolne dreszcze.

Widział mniej więcej, ku której stronie miał się kierować; ale wśród tego labiryntu krzyżujących się ulic musiał zapytywać o drogę. Przychodziło mu to z trudnością, wysłowienie miał niełatwe, wzrok mętny, powierzchowność odrażającą, często nie odebrał żadnej odpowiedzi, czasem rozśmiano mu się w oczy. Wówczas zaciskał swoje ogromne pięście i patrzał na ludzi z ponurą błyskawicą we wzroku, i zapewne gdyby nie liczni świadkowie, odpłacił by im za szyderstwo. Ale ci świadkowie!

Wreszcie zobaczył topole Alei Jerozolimskich, sterczące, nagie, proste i ponure wśród rzędu wspaniałych domów. Tutaj już wiedział, którędy iść mu wypada; przypomniał sobie, że prowadzono go jako aresztanta tą samą drogą. On zapamiętał ją dobrze, bo wówczas błyskał tylko oczami na wszystkie strony, patrząc, czy nie będzie mógł uciec.

Odetchnął szeroko na to wspomnienie; teraz był wolny. W miarę, jak zniżały się dachy kamienic, jak pokazywały się pomiędzy nimi puste place, w miarę jak ubywało przechodniów, robiło mu się coraz raźniej.

Rogatki wprawdzie przejęły go jakimś strachem nieokreślonym, jak każda rzecz urzędowa; bo pomimo pobłażania, jakie sąd mu okazał, pozostał mu w pamięci lęk wielki: wszystkiego, co nosiło urzędowy charakter, od bagneta żołnierza do gwiazdki na czapce urzędnika i żółto pomalowanych rogatek. Nie mógł pojąć, że sprawa zabójstwa Arona była sprawą skończoną; zdawało mu się, że lada chwila pogonią za nim, schwycą i znów odprowadzą do więzienia. W wolności swojej czuł jakby jakąś omyłkę. Pomiędzy sobą a więzieniem widział tylko postać adwokata, który przybierał w jego wyobraźni mistyczne kształty zbawczego anioła.

Ujrzawszy zdaleka rogatki i urzędowy szlaban, jakkolwiek ten był podniesiony, zatrzymał się niepewny. Przyszło mu na myśl szukać innej drogi, tylko bał się zbłądzić i znowu pytać o drogę. Miał wprawdzie w zanadrzu papiery, które mu oddano, wypuszczając go z więzienia, ale do tych papierów, jak zwyczajnie, chłop nie miał wielkiego zaufania.

Niepewny usiadł na pryzmie przy szosie,

świetle, odróżnić niebieski od zielonego. Nie ma powodu przypuszczać, żeby tu był już kres doskonalenia się poczucia barw; przeciwnie, wnosząc z poprzedzającego, można się spodziewać, że z czasem zarówno promienie cieplikowe jak i chemiczne, na które organ wzroku dziś jeszcze nie oddziaływa, staną się dla oka ludzkiego dostrzegalnymi. Co więcej, istnieją nawet pewne podstawy dla przypuszczenia, że po dzisiejszym stanie najprzód przyjdzie kolej na dostrzegalność promieni chemicznych (ultrafioletowych); gdyż takowe dziś już przy pewnych sztucznie sprowadzonych warunkach są widoczne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Henryk Goldberg.

NOWY ŻYWIOŁ W POEZYI NASZEJ.

(El...y, poezye tom III. Prelekcye d-ra Rostafińskiego o nowym zwrocie w poezyach Asnyka.)

Marzycielom, którzy nie chcą się pogodzić z nowszym pochodem myśli ludzkiej, zdawało się, że poezya jest warownią, do której wielkie pomysły filozoficzne naszego czasu nie mogą się przedostać.

U nas najczęśniej rymowane słowo wygłaszało tęskne skargi za przeszłością, roztaczało jęki albo jeremiaszowe proroctwa śmierci dla umysłów dotkniętych zgubną epidemią materyalizmu i pozytywizmu, którymi straszono łatwowiernych niby apokaliptyczną bestyą. Przed paroma laty pierwszy współczesny poeta wytoczył energiczną skargę dziewiętnastemu wiekowi, nazwał go „nauczycielem zgrozy i nicości“ i wołał doń w przystępie nielogicznego zapału: „Na co się mistrzu przyda twa nauka?“ Dzisiaj jednak on sam czerpie z tej krynicy mądrości, którą przeklinał, a prawdami tej nauki przesnuwa wytworną szatę swych utworów, tkanych dawniej z nitek samych idealnych marzeń. Niedość na tem, z mównicy publicznej obwieszcza słuchaczom o tym nowym „zwrocie w poezyi“ przyrodnik, który dawniej rozprawiał o walce bytu w przyrodzie i opowiadał o cudach świata roślinnego. Co botanikowi do poezyi? zawołano u nas chórem prawie jednomyślnym; poco przyrodnik pozuje na literackiego krytyka a zamiast śledzić za rozwojem komórek, bada piękność wiersza, zachwyca się muzykalnością rymów? Zapomniano widocznie, że botanika z poezyą przy końcu zeszłego wieku zawarły duchowe małżeństwo w umyśle wielkiego autora *Fausta*, który zapisał swą sławę na kartach dziejów nauk przyrodniczych. Wobec rezultatów badań i poglądów morfologicznych Göthe'go, nikomu podobno nie przyjdzie chętka zastosować znanego przysłowia o szewcu i kopycie, ale każdy ze czcią wspomina imię poety jako poprzednika Lamarcka i Darwina, których idee zapanowały nad całym niemal rozwojem umysłowym chwili bieżącej. Pamiętając o tem, co niegdyś poeta zrobił dla botanika, nie dziwiliśmy się wcale temu, że botanik wstępuje na kwieciste niwy fantazyi, tembardziej, że złożył już dowody artystycznego poczucia, poetyzując w żywem słowie dramata przyrody. Nie sądzimy bowiem, iżby sfera oceny dzieł piękna była z zasady przystępna li tylko dla fachowych uprawiaczy krytycznego rzemiosła. Ogłaszanie nowego zwrotu poezyi przez przyrodnika było tem naturalniejsze, że chodziło tu właśnie o tryumf idei, które do filozofii przeszły z dziedziny przyrodoznawstwa, walczącego śmiało o przodownictwo w rozwoju wiedzy współczesnej. Cokolwiek wyrzekła nasza idealistyczna krytyka, jest to rzeczą aż nadto widoczną, że w najnowszym tomie poezyi Asnyka widać ogromny wpływ idei nowszej filozofii, którego oceną i wykazaniem zajął się dr. Rostafiński w pierwszym zwłaszcza swym odczycie, chociaż nie umiał oznaczyć ani właściwej granicy, ani znaczenia tego wpływu, przesłoniwszy sobie oczy niekrytyczną gazą optymizmu. Wczytując się uważnie w te nowsze utwory niepospolitego poety, który tak umie czarować pięknością uczucia i misternym powabem formy, znaleźliśmy kilkanaście utworów, powiększej części ważniejszych, które w mniejszym lub większym stopniu są nacechowane ideami *walki i rozwoju*, występującemi jako dźwignie pochodu świata i postępu ducha ludzkiego.

W bardzo abstrakcyjnym wierszu *Mgławice* poeta wypowiada ideę przemiany i rozwoju „mgieł kosmicznych, które się męczą i chwieją, aby zbić się w szeregi brył ognistych, mają być kolebką jasną nowych żywiołów i sił, gdy nasze słońca pogasną, w kosmiczny zetrą się pył“. Tę hypotezę poeta przenosi w sferę świata moralnego, twierdząc, że tak samo dzieje się w duchu ludzkiego przestworzach, gdzie „marzeń mgła wiąże się podobnie, a smugi jej szukają nowych dróg dla siebie“ i „krążą marnie przez wieki,“ dopóki nareszcie „po długim upływie lat“ nie stworzą „nowego świata.“ W formie fantastycznego nieco majaczenia zastosowaną tu jest do oderwanej sfery duchowej czysto przyrodnicza zasada niezniszczalności materyi, przyjmującej coraz nowe kształty w wielkim ruchu rozwojów i przemian. Ta sama idea przemiany wypowiedziana jest w pięknej *Odzie*, ukazującej idealną genezę miłości, jako siły spajającej życie społeczne, tej miłości, która „zrazu jest pociągiem zmysłów i czarem rozkoszy“ łagodzącym dzikie obyczaje, potem „z cielesnych pragnień“ świta jako „brzask ideału,“ który coraz bardziej „przenika światy tchnieniem harmonii i zgody,“ staje się „ogniwem wiążącem ludzkość, miłością prawdy i cnoty,“ zapala jutrzenkę duchowej wolności. W *Tajemniczem bóstwie* poeta opiewa taką samą przemianę ideału, który przybiera coraz nowe kształty widome, nowe wcielenia plastyczne. W elegii *Na zgon poezyi* wyraźnie powiada, że „śmierć tej królowej jasnych krain jest tylko chwilową,“ że „trumna w której ją do grobu składają, zawiera tylko kształt jej już przeżyty,“ że ona nie umarła, ale przerabia tylko „dawnych marzeń potargane nici na nową szatę dla siebie.“ W prześlicznej *Czarodziejce*, którą p. Rostafiński trafnie porównał do obłocznej wizyi Gwidona Reni'ego, poeta z całym urokiem wiosennego powabu odmalował nieustannie odradzające się wdzięki młodości, pocieszycielki świata, a nawet w figlarnej piosence *Na początku* opisuje dzieje własnej przemiany pod wpływem pocałunku jakieś czarnookiej.

Przewaga idei rozwoju i doskonalenia się, ściśle rzeczy biorąc, niekoniecznie jednak jest dowodem wpływu nowszych pojęć filozoficznych. Asnyk tylko w *Mgławicach* nadał jej wyraźne przyrodnicze piętno, w innych pomięszał z pomysłami mistycznymi a wogóle przeniósł ją w sferę przeważnie idealną. Wiemy zresztą, że w rozmaitych kształtach pojawia się ta idea, w różnych systematach filozoficznych i dogmatycznych. Daleko wybitniejszym dowodem tego wpływu jest uwydatnienie bardzo wyraźne w kilku utworach idei *walki o byt* i to zupełnie w duchu współczesnych pojęć naukowych, zwłaszcza w energicznym wierszu *Dzisiejszym Idealistom*, będącym apostrofą do maruderów myśli „przeżuwających dawnych latostatki.“ Po-

---

i wzrok wlepił w te dwa okrągłe, żółte budynki, koło których wypadało mu przechodzić, a które zdawały mu się pełne groźby; ale widział, że ludzie przechodzili pod szlabanem spokojnie, a że zimno mu się zrobiło siedzieć na topniejącym śniegu pod ostrym wiatrem, wiejącym od pola, powstał, wyciągnął skostniałe członki i powlókł się dalej.

Serce biło mu pod siermięgą gwałtownie, kiedy przechodził koło rogatek; skoro je minął, raźniej już szedł dalej szosą. Z razu goniły go jeszcze gęsto pobudowane przy niej domostwa, niby dalszy ciąg ulicy, przy której biegły ciągle rzędy topoli, potem domostwa się przerzedzały, potem i topole jak wysunięte strażnice rosły w coraz dalszych od siebie odstępach, i było już czyste pole i smutny zimowy krajobraz zasuty topniejącym śniegiem, prążkowany czarnymi grzbietami zagonów, przecięty gdzieniegdzie brudną kałużą, zamknięty ciemniejącą wioską lub lasem.

Krótki dzień zimowy miał się ku schyłkowi, jarkie z rana słońce skryło się za szare chmury, i tylko ku zachodowi przebijało się gdzieniegdzie krwawymi promieniami. Świat szarzał, ciemniał, smutniał, w powietrzu unosiły się chwilami, na kształt rozsypanego puchu, grube śniegowe płaty, wiatr dął coraz ostrzejszy, a gromady wron i kawek, wałęsając się nad topolami, spędzane nim co chwila, unosiły się w powietrzu ze złowrogiem krakaniem.

Wszystko to nie wywierało żadnego wpływu na grube nerwy Jędrasa, przywykłego do rozmaitych zmian atmosfery, tylko zaczynało dokuczać mu zimno i głód się przypominał.

Oglądał się wkoło, jak wilk szukający zdobyczy. W swojej wsi głód i zimno—były to dla niego fraszki; wiedział gdzie ludzie chowali kartofle, gdzie były tłuste kury i prosiaki, lub źle strzeżone barany. Kiedy było zimno, to siedział w chałupie przy kominie, ale tutaj?..

Miał wprawdzie w kieszeni trochę drobnych pieniędzy, które mu oddano przy wyjściu z więzienia, były to te same jeszcze co Aronowa poznawała, jako należące do męża. Śmieszna kobieta, niby to pieniądz od pieniądza różny.

Jędras zaczął się oglądać za karczmą i wkrótce ujrzał, co mu było potrzeba. O parę kroków od szosy stała gospoda niepokaźna, a wśród zmroku zapadającego wieczoru widniał błysk ognia przez zapocone okienko.

Mało tu widać, kto zajeżdżał, bo z jednej strony karczemka ta była zbyt blizką Warszawy, z drugiej niedaleko za lasem była Sękocińska stacya i naprzeciw niej murowany, obszerny zajazd, zwany pospolicie austeryą; więc jaki taki podróżny, czy też furman z obładowaną bryką tam śpieszył, gdzie mógł dostać i owsa dla koni, i przekąskę jaką.

Nie wiadomo nawet, dla czyjej wygody istniała ta pochylona nędzna, w ziemię zapadła karczemka; tam chyba zaszedł dziad jaki, lub taki nędzny podróżny jak Jędras, a przecież istniała od dawna i zostawała w rękach jednego człowieka, który czynsz z niej płacił regularnie; a chociaż z urzędu narzekał na ciężkie czasy, nie musiał być wielkim biedakiem, bo chociaż nie zajmował się żadnym rzemiosłem, przecież ani on, ani żona nie chodzili w łachmanach, i codzień na obiad gotowali krupnik lub rosół.

Było to małżeństwo podżyłe w latach; we dwoje tylko mieszkali w samotnej karczmie bez dziewki i parobka. Ludzie dziwili się czasem, że się karczmarz rabunku nie boi, ale bo też mówiono o nim rozmaicie. Wprawdzie nie można zaraz wierzyć ludzkiemu gadaniu; to pewna jednak, że niewiadomo skąd tam była zamożność i co za ludzie schodzili się do tej karczemki? Czasem parę dni nie zajrzał tam duch żywy, a czasem po całych nocach snuli się jacyś nieznajomi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Walerya Marrené.

eta z energią wypowiada ten rymowany wstępny artykuł, jak postępowiec najczystszej wody; chłoszcze idealistów za to, że „fałszywy wstyd zabrania im zstąpić z obłoków do ziemian i czynnie *walczyć* o dalszy *byt* wśród życia wstrząśnień i przemian“ i przestrzega, że na próżno „chcą wykluczyć gwałt z duchowej sfer istnienia,“ bo i tam „walka powszechna trwa“. W *Chórze Oceanid*, niemającym żadnego podobieństwa do wspaniałych chórów tych dziewic morskich w *Prometeuszu* Eschylosa, poeta także wypowiedział w tonie poważnym i szerokim hymn na cześć „sporu wszech żywiołów,“ który „jest prawem powszechnem istnienia“. W innych jeszcze poezyach, jak *Ociemniały Thamyris*, *Lykofron do fatum*, *Tantal*, *Ucisz się serce*, znajdujemy uwydatnione idee walki i rozwoju albo w głównym pomyśle, albo w bardzo ważnych szczegółach, rzucających jasne światło na ich całość.

Wobec tego, cośmy powiedzieli, nie może się ostać mniemanie niektórych krytyków zaprzeczających wpływu nowszych pozytywnych idei na ostatnie utwory Asnyka. Możnaby znakomicie pomnożyć liczbę cytat i dowodów, których zresztą dużo przytoczył dr. Rostafiński dla poparcia tej opinii; ale tego niedość dla przekonania umysłów pragnących odgrodzić nasz świat intellektualny od napływu potężnej fali nowego naukowego ruchu. Nie myślimy bynajmniej z tego powodu wygłaszać tryumfalnych okrzyków na cześć zwycięztwa nowych idej, widząc w tem naturalny dowód oddziaływania współczesnej atmosfery duchowej na poezyę, od którego nie może się wyłamać żaden szlachetny umysł, biorący udział w postępowym pochodzie pracy cywilizacyjnej. Wpływ nowych prądów jest tembardziej widoczny, że w poprzednich poezyach Asnyka nie odzywały się ani na chwilę takie myśli i pojęcia, a nawet poezye osnute na pomysłach abstrakcyjnych wypowiadały różnorodne idee innej zupełnie natury. Jest to oczywiście pewną chlubą dla poezyi naszej, że jej pierwszy przedstawiciel nie zatyka uszu na głosy postępowe, chociaż oceniając z tego punktu jego utwory krytycznie, bez przesady trudno z panem Rostafińskim zgodzić się na to, aby idee te miały w utworach Asnyka tak stanowczą przewagę, aby wznosiły się do wyższej syntezy filozoficznej z pojęciami dążenia do ideału.

Rzeczywiście w tych samych utworach spotykamy oddźwięk pojęć zupełnie odmiennego kierunku. W *Chórze Oceanid* poeta od idei walki przechodzi do idei „myśli bożej“... „która dzierży wieczny nad światami rząd;“ w wierszu *Lykofron do Fatum* na ruinach fatalizmu ukazuje świtanie „bóstwa miłości;“ w *Tajemniczem bóstwie* wygłasza jedność i niezmienność ideału, obok zmienności jego form; w jednej z najpiękniejszej poezyi *Baśń tęczowa*, będącej uroczem wcieleniem abstrakcyjnego pomysłu w fantastyczne kształty, oraz w prześlicznym wierszu *W zimowej nocy* wypowiada poeta swoją cześć dla ideału, nieustanną pogoń za jego niepochwytnym marą, będącą dawnym jego idealnym dogmatem.

Wogóle w przekonaniach Asnyka wyrażonych w poezyi widzimy, że znikło szamotanie się pomiędzy niewiarą a ekstazą (wyrażone tak świetnie w „Ascecie,“) ale została wiara w bóstwo miłości, w ideały piękna, dobra i prawdy, w celowość życia i świata, dążącą do zwycięstwa harmonii i miłości. Dowodzi tu tylko, że poeta jest podobny do poganina, który świątyni swych dawnych bogów nie pokruszył, ale obok nich postawił nowe bez względu na to, czy one zgodzą się z dawnymi. Wpływ nowych idej nie wyrugował z umysłu dawnych pojęć idealnych, które właściwie mówiąc, zgodzić się z niemi logicznie nie mogą, boć idea walki i rozwoju oparta na prawach nie może się godzić z ideą osobistego bóstwa, ani ideą celowości.

W umyśle poety widocznie sprzeczne żywioły nie ukończyły jeszcze sporu, nie ułożyły się w harmonię jednolitych przekonań, jak to błędnie twierdzi p. Rostafiński, nie umiejąc się wcielić w logikę natur poetycznych, które ulegają często sprzecznym prądom i nie czują potrzeby systematycznego układu swych przekonań w jednolitą i zaokrągloną całość. Prelegent popełnił zasadniczy błąd krytyczny, szukając w ideach. wyrażonych przez Asnyka, takiego zaokrąglenia, takiej harmonijnej syntezy, układając, co prawda niezbyt jasno i dobrze, różne pomysły poety w całość systematyczną jakby stanowiły one rozdziały filozoficznego traktatu. P. Rostafiński twierdzi, że Asnyk wziął tylko dodatnie strony nowych idej naukowych, że otrząsnął się z pesymizmu i fatalizmu, będących ujemnymi ich skutkami, zapominając, że fatalizm nie jest wcale naukowym pojęciem nowożytnem, bo wyraża ślepą siłę, istniejącą po za światem i ludźmi a dowolnie rządzącą światem, gdy tym czasem *determinizm* dzisiejszy jest pojęciem prawidłości niezłomnej, tkwiącej w rozwoju świata, pojęciem trwałości praw, wywołujących wzajemną zależność przyczyn i skutków. Co w rzeczywistości jest rozdźwiękiem pomiędzy dwoma prądami myśli, podleganiem różnorodnym wpływom, objaśniającem się psychologiczną naturą talentu poety, to prelegent ukazał w świetle jakiegoś zbratania pojęć wprost przeciwległych. Jest to nowy dowód tego, jak fałszywe rezultaty wydaje w zakresie poezyi stosowana metoda krytyki przesadnie głębokiej, mierzącej płody fantazyi logiką nauki i filozofii, krytyka, jaką naprzykład często grzeszył Gervinus w ocenie wewnętrznej treści dramatów Szekspira, wykrywając w nich intencye, o których się poecie ani śniło. Wogóle zastosowanie ogólniejszych zasad krytycyzmu nie powodziło się prelegentowi, który robił wywody fałszywe, albo niestosujące się do poruszanej kwestyi. Mówiąc naprzykład o poezyach opisowych Asnyka, prelegent zrazu bardzo pięknie wykonał analizę wrażeń estetycznych, otrzymywanych od przyrody, ale najniesłuszniej starał się przyznać Asnykowi wyjątkowe w tej mierze stanowisko, nietylko w literaturze naszej, ale i powszechnej. Cały pogląd prof. R. na rolę przyrody w poezyi był jednym szeregiem omyłek. W poezyi starożytnej piękno natury nie było prawie składowym żywiołem poezyi, jak twierdzi prelegent, co jest stanowczym fałszem.

Nie mówiąc o poezyi indyjskiej, która tak uroczo opisuje powaby roślinnego świata i piękność krajobrazów (dramata: *Kalidazy*, *Sakontala* i *Wikramowasi*) w epopejach homerowskich a zwłaszcza w Odysei spotykamy całe szeregi najświetniej kreślonych obrazów piękna lub grozy natury jak np. opis gaju Kalipso albo burzy morskiej przed przybyciem Odysseja do kraju Feaków. Wszakże w tragedyi greckiej występuje to poczucie z taką poetyczną krasą w sławnych chórach sofoklesowej *Antygony* i *Edypa Króla*. Nowożytny romantyzm postawił cześć dla przyrody w zakresie swych naczelnych dogmatów, przejmując się potrosze panteistycznym poglądem i ożywiając całą naturę. Ileż to cudnych obrazów przyrody rzucił w swych poezyach Göthe, jak świetnie i gorąco umie malować wspaniałe widoki wschodu Byron, w którego poezyi opisowość ogromną gra rolę. A nasi poeci ukraińscy Malczewski, Goszczyński i Zaleski a nawet tacy jak Lenartowicz i Syrokomla, czyż niebyli znakomitymi malarzami powabów przyrody? Czy Mickiewicz tylko, jak twierdził p. R., w *Panu Tadeuszu* zdobył się na piękno opisowe, czyż jego *Sonety Krymskie*, nie są arcydziełami plastyki niedoścignionemi w tym kierunku? Prawda, że Asnyk w tym rodzaju wzniósł się bardzo wysoko, chociaż nie doścignął takiej potęgi, czystej i świetnej obrazowości, jaką podziwiamy w *Stepach* lub *Czatyrdachu*.

W cyklu tatrzańskich poezyj pięć sonetów o *Morskiem oku*, pełnych siły w kolorycie, namalowanych energicznie, posępnie, należy do prawdziwych klejnotów poezyi; inne także wiersze: *Noc pod wysoką*, *Giewont*, *Ranek w górach*, *Wodospad Siklawy*, posiadają pierwszorzędne odczucie tonu przyrody i bogactwa kolorytu. Wywalczać jednak w tym kierunku dla poety jakieś stanowisko odrębne i wyjątkowe w naszej literaturze, to znaczy zasłaniać oczy na wartość innych a jego nadto przesadnie przeceniać.

Gdyby pochwała była celem krytyki, to wogóle studyum p. Rostafińskiego byłoby arcydziełem, tembardziej, że jakby dla artystycznego kontrastu, śpiewając dla poety hymn uwielbienia, prelegent po drodze nie żałował nikogo, chłostał wyznawców wszystkich szkół estetycznych, wpadające co chwila w dziwactwa i sprzeczności. Nie pojmujemy naprzykład, dla czego ocenę jednego dzieła Asnyka poprzedził apostrofą do krytyków Pola, bronił fałszywych pochwał, jakie Asnyk prawił w dość bladym wierszu na cześć autora Mohorta za to, że niby wskrzeszał „dawną sławę i dawną wielkość, dawne uragany bojów i rycerskiej drużyny!“ Ciekawi jesteśmy, jakim sposobem Asnyk dowiódłby nam, że Pol maluje obrazy „wielkości“ dawnego życia, a p. Rostafiński jakim sposobem może zaprzeczyć prawa krytykowania takich wstecznych intencyj, jakie objawił Pol w *Wicie Stwoszu*, karząc bohatera za to, że śmiał nie przyjąć szlachectwa? Wogóle z małymi wyjątkami cały aparat ogólnych wywodów użyty przez p. R. w krytyce poezyi Asnyka był stosowany fałszywie, a jedyną wartość miały pojedyńcze sądy, świadczące o trafnem odczuciu powabów poezyi. Nic więc dziwnego, że zarówno rysy charakteryzujące naturę talentu, jak i ogólne wywody prelegenta, oparte na sądach wyłącznie pochwalnych, nie ułożyły się w całość trafną, krytyczną a raczej będącą stanowczem przeczeniem tych obu przymiotów. Po szeregu pochwał prelegent wygłosił niesłusznie, że głównemi zaletami Asnyka są: jasność, treściwość i prostota, które właśnie występują tylko w nielicznych jego utworach. Wspaniały *Król Juba*, sonety *O Morskiem oku*, cały szereg prześlicznych sonetów poświęconych cierpieniom i nadziejom chwili bieżącej, jak: *W oczekiwaniu jutra*, *Czego ci trzeba dziś posępny tłumie?* *Zejdź jasna jutrzenko*, wszystkie te utwory rzeczywiście zasługują na takie pochwały; ale większość znakomita odznacza się przedewszystkiem powabem, misternem rzeźbieniem szczegółów, kunsztownością formy, delikatnością uczucia, a nadewszystko pewną głębokością myśli, rozprowadzonej czasem zbyt szeroko i niezawsze jasno. Wśród tych głębszych poezyj Asnyka, niektóre istotnie imponują powagą i szerokością jak: *Chór Oceanid*, *Tantal*, *Tajemnicze bóstwo*, niektóre pomimo pięknych szczegółów świecą nagością abstraktu jak *Mgławice*, *Lykofron do Fatum*, albo nużą zbytnią rozwlekłością rozumowania, jak *Ociemniały Tamyris*. Wogóle pogłębienie treści rozumowej i abstrakcyjnej wpłynęło na większą powagę i, jak powiada prelegent, na „dostojność“ poezyi Asnyka, ale odjęło jego utworom wiele tęczowych blasków imaginacyi i młodzieńczego zapału. Jego stan wewnętrzny maluje się w pięknych lirykach: *W zimowej nocy*, *Ból zasnął*, *Ucisz się serce*, oraz wielu innych, ukazujących przejście od głębokiego smutku i boleści targającej, gwałtownej do smutnego spokoju i pogodzenia się z biegiem życia, uznania jego stron świetlanych i pięknych nadziei. W innych działach liryki znajdujemy tu parę pereł erotycznych, wesołych i świetnych jak: *Najpiękniejsze piosnki*, *Panieneczka*, a zwłaszczcza cudowne *Dzieje piosnki*, nieśmiertelny prawdziwie kwiatek

naszej liryki. Ironia i humor igrają z wielką swobodą w kilku pięknych wierszykach a zwłaszcza w pełnej humoru i fantazyi *Napad na Parnas*, wymierzonej przeciwko skrajnym materyalistycznym poglądom na poezyę, przeciw wprowadzaniu w jej dziedzinę przedmiotów nieestetycznych. Wogóle w tym trzecim tomie znajduje się parę rzeczy nudnych i chybionych lub fałszywie sentymentalnych, brak tu utworów, tętniących gorącą siłą uczucia i fantazyi, ale całość jest w każdym razie pięknym przyczynkiem dla naszej literatury poetycznej i zawiera w sobie kilka klejnotów liryki polskiej.

Pod względem ważności tematów i głębokości myśli, poezya Asnyka w tym tomie podniosła się niewątpliwie po nad wszystkie dotychchczasowe płody liryki polskiej, a pod względem kunsztu słowa, Asnyk dorównał najpierwszym mistrzom; brakło mu tylko siły natchnienia i fantazyi, aby mógł stanąć na szczycie. W charakterystyce p. Rostafińskiego nie spotkaliśmy niektórych nawet wybitnych rysów indywidualności poety, jak np. zaznaczenia tej niesłychanej rozmaitości formy i tonu, umiejętności wcielania się w przedmioty i uczucia najróżnorodniejszej natury. Brak jednolitości wewnętrznej w poecie, który krąży pomiędzy dawnemi a nowymi ideałami, jest dość pokrewny z nieokreślonością stanowiska prelegenta, który bronił idei pozytywnych, gromił idealistów i realistów, deklamował na cześć metafícznego piękna. Podobieństwo takie tłomaczy zapewne specyalne zamiłowanie prelegenta do poety, tłomaczy przesadnie pochwalny ton jego sądów, ale nie może być zwłaszcza dla pierwszego tytułem do uznania, albowiem wrażliwemu poecie możemy przebaczyć mimowolny eklektyzm i uleganie różnym prądom, ale uczonemu mamy prawo postawić zarzut braku konsekwencyi i jednolitości w poglądach. Jest to jednak rzeczywistą zasługą p. R., że w swem słabem studyum ukazał wpływ nowych idej postępowych na poezyę, chociaż przecinił jego zakres i znaczenie. Nie możemy razem z prelegentem uznać „nowego zwrotu“ w utworach Asnyka, ale to pewna, że do naszej poezyi wprowadził on *nowy żywioł*, bardziej pożądany od wszelkich egotycznych kwileń i tryumfów na cześć umysłowego lub społecznego pruchna.

J. K.

HYPNOTYZM.

II.

Metoda Braida. Ująwszy wielkim, wskazującym i środkowym palcem lewej ręki jakiś przedmiot błyszczący, należy trzymać go w odległości ośmiu do piętnastu cali od oczów na takiej wysokości, ażeby pacyent siedzący spokojnie mógł nań patrzeć z największem natężeniem mięśni ocznych i powiek.

Z początku przywiązywano pacyentom korek na czole, ale to wywierało wpływ skuteczny tylko na tych, którzy mogli oba oczy utkwić nieruchomo. Wielu jednak nie było w stanie spoglądać obydwoma oczyma na przedmiot umieszczony tak blisko, i ci nie zasypiali. Wpatrywanie się w przedmiot z pewnej odległości, chociaż nie tak prędko, częściej jednak wprowadza w stan hypnotyczny i przeto ogólnie bywa stosowanem.

Wskutek zbiegnięcia się w jednym punkcie linij wzrokowych następuje zwężenie, ale wkrótce potem rozszerzenie źrenic. Skoro to ostatnie dosięgnie wysokiego stopnia, wowczas często nastąpić może zamknięcie się powiek, jeżeli operator wskazującym i środkowym palcem prawej ręki, rozwarłszy je nieco, przesuwa od przedmiotu ku oczom pacyenta. Wtedy powieki się zamykają mimowolnie i drząco. Jeżeli to nie następuje lub pacyent poruszy oczyma, trzeba doświadczenie rozpocząć na nowo i objaśnić go, iż może zamknąć powieki, gdy operator palcami przeciągnie powtórnie przed jego oczyma, ale gałki oczne winien trzymać koniecznie w poprzedniem położeniu i nie zajmować uwagi żadnem innem wyobrażeniem, tylko przedmiotem trzymanym nad jego oczami. Wówczas zwykle powieki się zamykają. Po upływie 10 do 15 sekund zauważyć można, iż pacyent, przy podnoszeniu jego rąk lub nóg, okazuje skłonności do zatrzymania członków w tem położeniu, jakie przybrały.

Jeżeli polecimy pacyentowi spoglądać na pewien przedmiot tak długo, dopóki oczy mimowoli się nie zamkną, wówczas uczuwa zwykle ból w gałkach, przyczem nastąpić może lekkie zapalenie tkanki łącznej. Ażeby tego uniknąć, operator przymyka powieki, jak tylko dostrzeże rozszerzenie się źrenic. W tym wypadku pacyent może otworzyć oczy nawet po upływie pewnego czasu, w pierwszym uczynić tego nie zdoła.

Na sprowadzenie stanu hypnotycznego kierunek patrzenia nie wpływa bynajmniej; stan ów jednak zjawia się najwolniej, jeżeli spoglądać będziemy prosto przed siebie, najprędzej zaś i najłatwiej, jeżeli obydwoma oczami jednocześnie spoglądać będziemy na wewnątrz i do góry. Samoześrodkowanie uwagi zdolne jest nawet u ślepych sprowadzić stan hypnotyczny, na co Braid słusznie wielki kładzie nacisk. Wypada jedynie, zamknąwszy oczy, zapatrzyć się w myśli na jakiś przedmiot lub wyobrażenie.

Skoro ludzie z natury bardzo wrażliwi po kilku czynionych nad nimi doświadczeniach zostaną rozdrażnieni jeszcze bardziej, wówczas są skłonni do wpadania w stan hypnotyczny już przez sam wpływ duchowy — wiarę lub przyzwyczajenie — t. j. hypnotyzują się przy każdym wypadku, który, według ich mniemania, służy do oddziałania na nich w ten sposób, albo wtedy, gdy poprostu tylko wyobrażają sobie, że gdzieś w oddaleniu odbywa się coś, co ich usypia. W fakcie tym kryje się źródło błędnych mniemań tych, którzy twierdzą, iż są w stanie wywierać wpływ na pacyentów ze znacznej nawet odległości wskutek własnej woli lub ukrytych ruchów.

Silny prąd powietrza, zwrócony na twarz, zwykle przerywa zupełnie stan hypnotyczny, bez względu na też, jak wytworzony, czy przez proste dmuchnięcie ustami lub za pomocą mieszka, czy też przez poruszenie ręką lub jakimś innym przedmiotem. Odhypnotyzować można również za pomocą klaśnięcia w dłonie, przez silne uderzenie w ramię lub nogę, przez naciśnienie lub potarcie powiek, co też bezwłocznie uczynić należy, skoro tylko oddech stanie się utrudnionym, twarz zbyt zaczerwienioną, sztywność mięśni znaczną a bicie serca powolnem i nieprawidłowem. Niewtajemniczeni nie powinni zatem przedsiębrać doświadczeń hypnotycznych. Braid jednak z łatwością budził licznych swych pacyentów.

Co się tyczy częściowego przebudzania, zauważyć jeszcze należy, iż nagłe uderzenie lub pchnięcie naprężonego mięśnia wyprowadza wprawdzie daną część ciała ze stanu hypnotycznego, naciśnienie jednak nosa nie przywraca zmysłu powonienia, jeżeli nie jest delikatnem i długotrwałem; dotknięcie ucha za pomocą chustki nie usuwa głuchoty; lekkie pocieranie skóry nie przywraca jej zwykłej wrażliwości, ani też nie wprowadza w ruch zesztywniałych pod nią mięśni, a tymczasem jedno dmuchnięcie wraca organizmowi całą jego czułość i ruchliwość.

W sposób opisany powyżej można nietylko innych, ale i samego siebie hypnotycznie uspić i przebudzić, poleciwszy np. aby nam oczy potarto. Nie było jednak wypadku, aby pacyent pogrążony w głębokim śnie hypnotycznym przebudził się sam, bez współudziału innych, chyba sposobem przypadkowym, jak np. gdy podniesiona do góry ręka zesztywnieje i wywrze ciśnienie na głowę.

Dwie osoby mogą jednocześnie wprowadzić się nawzajem w stan hypnotyczny. Bywały bowiem wypadki, iż operator wpatrując się nieruchomo w oczy pacyenta, usypiał mimowoli samego siebie, podczas gdy ten ostatni nie usnął.

Zdarza się także, iż chorzy przez wpatrywanie się w jaki przedmiot, mimowoli wpadają w sen hypnotyczny, o którym poprzednio wcale nawet nie słyszeli. Toż samo czynią niektórzy entuzyaści religijni, jak mnichy z góry Athos, a prawdopodobnie i yoginsi w Indyach.

Rezultaty, jakie Braid z zastosowania swej metody zdołał osiągnąć, okazały się rzeczywiście nadzwyczajne, niekiedy nawet wydają się nieprawdopodobne. Procent osób, nadających się do doświadczeń hypnotycznych w czasie wykładów z liczby dobrowolnie zgłaszających się w tym celu, okazuje się nader znacznym. Na pewnem zebraniu publicznem w Manchester z czternastu osób, które były mu zupełnie nieznane i dobrowolnie poddały się doświadczeniom, dziesięć wprowadził w sen hypnotyczny. W Londynie w roku 1842, na pewnem prywatnem zebraniu lekarzy, zdołał Braid w przeciągu dziesięciu minut z 18 osób uśpić 16.

Zauważyć tu należy, że im więcej pacyent bywa hypnotyzowanym, tem bardziej staje się wrażliwym a w końcu zasypiać może pod wpływem własnych jedynie wyobrażeń. Z drugiej strony najzręczniejszy hypnotyzer niczego nie dokona, jeżeli pacyent niczego się nie spodziewa, nie stosuje się pod względem psychicznym i fizycznym do przepisów lub jeżeli się opiera. Dosyć jest poruszyć oczyma lub nie mieć uwagi zwróconej na jeden przedmiot, aby stan hypnotyczny nie nastąpił. Pojawia się on, przeciwnie, bardzo łatwo wówczas, gdy pacyent, poddawszy się wszystkim przepisom, niejako go oczekuje. Przykład: na pewnem zebraniu publicznem zostały zahypnotyzowane 22, już przedtem usypiane osoby, które podczas doświadczenia dotknęły się wzajemnie różnych części ubrania i ciała, całą zaś uwagę zwróciły na doświadczenie i oczykiwały chwili snu.

Dzieci, idyotów, lub osób niespokojnych i wrażliwych, które nie są w stanie zastosować się do wymienionych wyżej przepisów, niepodobna uspić dlatego, że poruszają oczyma i nie mogą ześrodkować uwagi. W zwykłych wypadkach chorób umysłowych, w monomaniach, hypnotyzowanie wywierało często wpływ nader zbawienny. Nawet u osób, nadających się do doświadczeń hypnotycznych, stopień wrażliwości bywa bardzo różny: jedne bowiem zasypiają szybko i silnie, inne powoli i słabo.

W każdym razie należy stosować się ściśle do wymienionych wyżej przepisów, inaczej doświadczenia hypnotyczne, czynione nad osobami najbardziej nawet wrażliwemi, pozostać mogą bez skutku. Po większej części doświadczenia nie udają się dlatego, iż bardzo uciążliwym bywa spoglądać przez parę minut na mały błyszczący przedmiot bez przymknięcia powiek i poruszenia oczyma. Stopień wrażliwości hypnotycznej zależy prócz tego od stanu fizycznego lub usposobienia, w jakiem dana osoba się znajduje.

Różnice jednostkowe ujawniają się nadewszystko w tem, że niektórzy pacyenci mogą być doprowadzeni tylko do pierwszej hypnozy, nigdy zaś, lub z wielką trudnością do drugiej, do zupełnego zesztywnienia.

Rozmaitość symptomatów, obserwowanych u różnych osób po wprowadzeniu ich w stan hypnotyczny, uważa Braid za wa-

żną podstawę swego twierdzenia, że wszystko polega tu głównie na zmianach subjektywnych, na stanach indywidualnych, nie zaś na oszustwie lub omamieniu. Jeżeli różni ludzie bywają roztargnieni, roztargnienie to przejawia się u nich nader rozmaicie. Roztargnienie zaś i stan hypnotyczny mają pod niektórymi względami wiele podobieństwa. Zarówno bowiem jak w roztargnieniu brak przytomności umysłu osłabia wrażliwość na nowe pobudzenia, działa zatem fizycznie, tak i w pewnem stadyum hypnozy niezwykle i jednostronnie pobudzona fantazya wywołuje przejawy fizyczne.

Tem też Braid wyjaśnić się stara wpływ ruchów magnetyzerów, z dotykaniem lub bez dotykania, które pobudzają uwagę pacyenta i pochłaniają jego wolę i fantazyę. Natomiast wola operatora pozostaje obojętną, gdyż czasami, nawet gdy nie chce, może pacyenta wprowadzić w stan hypnotyczny i na odwrót.

Objaśni to przykład: Pewną trzydziestoletnią damę poproszono, aby oparła rękę o krawędź fotelu i zwróciła głowę w lewą stronę dla niedostrzeżenia ruchów operatora. Jednocześnie zalecono jej, aby śledziła uczucia, jakich doznawać będzie podczas czynności operatora, który wcale się jej nie dotykał. Niebawem poczuła ona kłucie w środkowym palcu wspartej ręki, które stawało się coraz dotkliwszem i wkońcu dosięgło ramienia. Zapytano ją wówczas, co czuje w wielkim palcu — kłucie przeniosło się do niego natychmiast. Gdy ją proszono, aby zwróciła uwagę na środkową część ramienia, poczuła kłucie i w tej części ciała. Przez cały czas operator nic nie robił; wszystko zaś było wynikiem skierowania własnej jej uwagi na rękę i ramię. Następnie operator przeciągnął po nad ręką pacyentki magnesem, dozwoliwszy jej przypatrywać się temu doświadczeniu. Doznała ona znowu kłucia, czuła przytem chłód stali, gdy magnes zbliżał się do ręki.

W końcu zapytano jej, czy nic nie widzi na końcach magnesu, a gdy odpowiedziała przecząco, proszono jej, aby zwróciła baczną uwagę, gdyż ujrzy płomienie powstające z obu biegunów. Pokój, w którym odbywało się doświadczenie, był słabo oświetlony. Po upływie pewnego czasu pacyentka zawołała, że widzi na obu biegunach magnesu czerwone płomienie i doznaje przytem dziwnego uczucia w oczach, poczem nagle zapadła w stan hypnotyczny. Damę tę poddawano kilkakrotnie doświadczeniom hypnotycznym.

Braid przytacza również przykłady, służące za dowód, że można wprowadzić w stan hypnotyczny tych nawet, którzy świadomie opierają się temu, jeżeli tylko wykonają w zupełności wszystkie przepisy. Na pewnem posiedzeniu poddał się próbie pewien silny robotnik, którego lekarz jakiś namówił, aby się nie dał uspić. Początkowo usiłował on tego dokonać przez uchylenie się od przepisów, kiedy jednak Braid otwarcie mu powiedział, że wie o tem, uległ z widoczną niechęcią, i posłużył jednocześnie na najlepszy dowód skuteczności metody.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGADANKI NAUKOWE.

O gramatyce porównawczej języków indoeuropejskich.

V.

Skończywszy w ten sposób przegląd świata słowiańskiego ze stanowiska czysto dialektologicznego czyli *plemiennego*, przejdziemy teraz do rozpatrzenia *języków literackich*, które się rozwinęły na tym gruncie i które służą jako jedna z głównych cech charakterystycznych dla odróżnienia pojedyńczych *narodów* i *narodowości* słowiańskich.

Języków literackich może być kilka rodzajów, które się dają sprowadzić do następujących głównych kategoryj:

1) Języki *kościelno-literackie*, t. j. używane głównie w kościele i w księgach kościelnych.

2) Języki *państwowo-literackie* i *administracyjno-literackie*, stanowiące organ piśmienny albo państwa wogóle, albo też tylko administracyi w pewnej części państwa. W pierwszym razie będą to języki *państwowo-literackie*, w drugim zaś *administracyjno-literackie*. Tak np. w państwie rosyjskiem rolę języka państwowo-literackiego gra tak zwany język rosyjski (ruski), ale np. w guberniach nadbaltyckich istnieje obok niego język niemiecki, jako język miejscowej administracyi.

Osobny gatunek języka państwowego stanowi język dyplomatyczny, jakim np. dla Rosyi, jak i dla całej Europy, jest obecnie język francuzki. Ale, ponieważ ani jeden z języków słowiańskich nie jest używanym w międzynarodowych stosunkach dyplomatycznych, więc kategorya ta nie może mieć zastosowania w dziedzinie języków słowiańskich.

3) Trzecią ogólną kategoryę języków literackich stanowią języki *literackie w ścisłem znaczeniu tego wyrazu*, t. j. języki, używane w piśmiennictwie świeckiem i będące organem nauki i literatury nadobnej tego lub innego narodu.

Najczęściej ściśle literackiemu zastosowaniu towarzyszy zastosowanie koscielne i przedewszystkiem administracyjne; ale nie jest to wcale ogólnem zjawiskiem, i zwłaszcza w dziedzinie słowiańskiej powinniśmy ciągle pamiętać o tych różnicach.

Jakież więc istnieją (lub też istniały) u słowian *języki kościelno-literackie?*

Najpierwsze miejsce dla swojej ważności i oryginalności zajmuje tu język dawny *cerkiewno-słowiański* czyli *starosłowiański*. W jego zabytkach odbił się stosunkowo najdawniejszy stan języków słowiańskich. Naturalnie język ten musi mieć jakiś początek ludowy, t. j. mógł powstać jedynie drogą zastosowania tej lub innej gwary ludowej albo też grupy gwar do potrzeb literackich pewnego rodzaju. Któraż więc z żyjących obecnie grup gwar słowiańskich znajduje się w związku najbliższego pokrewieństwa ze starożytnym językiem cerkiewno-słowiańskim? Na pytanie to istnieje kilka odpowiedzi, ale wybitniejsze miejsce między niemi zajmują tylko dwie: jedni szukają początku języka starosłowiańskiego w dziedzinie grupy bulgarskiej, drudzy zaś widzą w nim jedną z gałęzi języka ludowego słoweńców (słowenów, słowian) „pannońskich,“ których potomkowie utracili swoją narodowość i zmieszali się z innemi narodowościami innoplemiennemi, nie słowiańskiemi. Według mnie, jedna tylko rzecz jest pewna, a mianowicie: język starosłowiański należy do języków południowo-słowiańskich, nie może zostawać w najbliższem pokrewieństwie z serbo-chorwackim i nareszcie niektóremi swojemi właściwościami najbardziej się zbliża do bulgarskiego; ale jego rzeczywiści najbliżsi krewni między istniejącemi teraz grupami gwar południowo-słowiańskich nie zostali dotychczas i prawdopodobnie nigdy nie będą odnalezieni.

W swojej pierwotnej postaci język starosłowiański dochował się tylko w najstarszych zabytkach, a nawet i to, jak się zdaje, z dosyć znacznemi odstępstwami. Związany głównie z prawosławiem, był on używany właśnie przez słowian prawosławnych, t. j. przez serbów, bulgarów i Ruś, a oprócz tego przez rumunów. Stosując się do żywej mowy różnych plemion słowiańskich, rozpadł się wkrótce na kilka odcieni, które, coraz bardziej się zwiększając, dały początek osobnym językom cerkiewno-słowiańskim u serbów, u bulgarów i u rosyan (z rusinami). Ale, wskutek wzajemnych stosunków i oddziaływania jednych słowian prawosławnych na drugich, utrzymywał się ciągły związek między temi różnemi modyfikacyami języka cerkiewno-słowiańskiego, i był przyczyną ich wzajemnego wpływu. A ponieważ z biegiem czasu ognisko prawosławia z półwyspu Bałkańskiego przeniosło się do Rosyi, więc też, rozumie się, ruska modyfikacya języka cerkiewno-słowiańskiego stała się wzorem i dla reszty słowian prawosławnych, t. j. dla serbów i bulgarów. Co się zaś tyczy rumunów, to ich język cerkiewno-słowiański najwięcej się zbliża do modyfikacyi bulgarskiej, a będąc językiem zupełnie obcym, t. j. zostając do ludowego języka rumuńskiego w takim mniej więcej stosunku, w jakim kościelny łaciński zostaje do języka ludowego u czechów lub polaków, nie mógł wcale ulegać wpływowi języka rumuńskiego i dochował przybliżenie tę samą postać, w jakiej był niegdyś zapożyczony przez rumunów. U rosyan, rozumiejąc pod tem tak wielkorusów, jak i małorusów, język cerkiewno-słowiański, przynajmniej w wymawianiu, przedstawia dwa odcienie, stosownie do użycia przez duchowieństwo wielkoruskie, albo też małoruskie. W Rosyi odcienie te zostały obecnie mniej więcej starte, ale poza granicami państwa rosyjskiego, a mianowicie u unitów-małorusów cesarstwa austryackiego, istnieje oryginalny język cerkiewno-słowiański, podobny do języka używanego dawniej przez polskich unitów. Język ten daleko więcej się zbliża do języka ludowego małorusów, aniżeli urzędowy język cerkiewno-słowiański w Rosyi nawet do języka ludowego wielkorusów; co więcej, w wymawianiu oba te języki, unicki cerkiewno-słowiański i ludowy małoruski, są prawie identyczne.

Przytem nie od rzeczy będzie zauważyć, że pierwotną podstawę teraźniejszego *ogólnie-ruskiego* języka cerkiewno-słowiańskiego stanowi język cerkiewno-słowiański, używany w swoim czasie przedewstkiem przez małorusów. Z Konstantynopola i wogóle z byłego cesarstwa bizantyńskiego droga na Ruś północno-wschodnią prowadzi przez Ruś południowo-zachodnią, zaludnioną przez małorusów. Wogóle zaś, wskutek swojego położenia, Ruś południowo-zachodnia daleko wcześniej, niż północno-wschodnia, oparła się o Europę, która wywierała na nią wpływ z dwuch stron, południowo-zachodniej (wpływ bizantyński) i północno zachodniej (wpływ łacińsko-polski). Wiele zasadniczych właściwości ogólnie ruskiego języka cerkiewno-słowiańskiego objaśnia się tylko przez to, że ogniskiem oświaty kościelnej na Rusi był pierwotnie Kijów.

Starożytny język cerkiewno-słowiański czyli język starosłowiański utworzył się jeszcze przed ostatecznym rozdziałem kościołów wschodniego i zachodniego; pierwotnie był przeznaczony, jako wspólny język kościelny, dla wszystkich słowian-chrześcian, bez względu na to, do jakiej sekty należeli. Przynajmniej „apostołowie słowiańscy“ Cyryl i Metodyusz dostali od papieża pozwolenie używać tego języka dla propagandy i rozprzestrzeniania między słowianami katolicyzmu rzymskiego, t. j. katolicyzmu z papieżem na czele. I w samej rzeczy są ślady użycia języka słowiańskiego przy nabożeństwie także u zachodnich słowian. Ale silna opozycya ze strony biskupów i wogóle ze strony innoplemiennego (zwłaszcza zaś niemieckiego) duchowieństwa katolickiego przeszkodziła ostatecznemu przyjęciu się u słowian-katolików nabożeństwa w języku narodowym i zamiast niego prawie wszędzie wprowadziła łaciński. Jedynie bardzo niewielka część chorwatów-katolików, używających

tak zwanego głagolickiego alfabetu, zachowała w księgach kościelnych język słowiański, jak zresztą wogóle chorwaci, w stosunku do Rzymu, zachowali więcej samodzielności, aniżeli n. p. słowińcy, czesi i polacy. Z czasem ten język cerkiewno-słowiański (kościelno-słowiański) u chorwatów zmięszał się z językiem ludowym chorwackim, także obecnie, oprócz pewnych archaizmów, jest to poprostu język chorwacki. Terytoryum, na którem jest w użyciu ten kościelny język chorwacki, coraz bardziej maleje na korzyść języka łacińskiego, tak że, o ile mi wiadomo, w dzisiejszych czasach księża chorwaccy odprawiają mszę po chorwacku tylko w niektórych miejscowościach Istryi i na wyspach morza Adryatyckiego. Oprócz tego ze słowian, uznających zwierzchnictwo papieża, jedni tylko ruscy unici (dziś istniejący tylko w Austryi) używają w nabożeństwie języka słowiańskiego.

Rozumie się, że obok języka łacińskiego, używanego przy nabożeństwie, u wszystkich słowian-katolików są także w użyciu ich języki ludowe dla kazań, modlitw, pieśni kościelnych i wogóle dla tych części nabożeństwa, w których koniecznym jest albo czynny udział wiernych, albo też przynajmniej rozumienie przez nich języka.

Całkiem ludowego języka używają księża u słowian-protestantów, do których należy większość łużyczan, następnie cząstka kaszubów, polaków (zbita, gęsta ludność w Prusach wschodnich i zachodnich i na Szląsku austryackim, a sporadycznie w różnych miejscowościach), czechów, słowaków i innych.

Jedną z podstaw protestantyzmu stanowi, jak wiadomo, używanie *prawdziwego* języka ludowego, gdy tymczasem u słowian prawosławnych, nie mówiąc już o języku cerkiewno-słowiańskim u rumunów, język cerkiewno-słowiański zajmuje w przybliżeniu takie same miejsce, jak kościelny język łaciński u narodów plemienia romańskiego, t. j. on tylko *poczęści* jest zrozumiałym dla ludu. Wiadomo także, że początek nowożytnych języków literackich Europy przypada na początek epoki odrodzenia i reformacyi.

U słowian protestantów w granicach cesarstwa niemieckiego, tak u polaków, jak i u łużyczan, utrzymuje się dotychczas w książkach do nabożeństwa i t. p. użycie alfabetu *gotyckiego* (szwabachu), t. j. zmodyfikowanego w średnich wiekach alfabetu łacińskiego. Użycie prostego alfabetu łacińskiego *(antykwy)* uważa się tam za cechę katolicyzmu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

J. Baudouin de Courtenay.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

L. Kalm Podoski. **Nasze szlacheckie sądy polubowne.** Wincenty Pol i p. Spasowicz. Lwów. 1880. W 8-ce str. 92.

Głośna niegdyś sprawa panów Szczeniowskiego i Jaroszyńskiego o majątek poszła już mniej więcej w zapomnienie: mowę pogrzebową nad jej pochowaniem wypowiedział Spasowicz, a *Ateneum* wydrukowało ją kilka lat temu. Dowiedzieliśmy się z niej, że poczciwa szlachta nasza zawsze jest poczciwą, ale że nie wadziłoby, gdyby zabierając się do sądu polubownego, miała zwyczaj używać biegłego prawnika do wyjaśnienia zawiłości jurydycznych, bo na to nie wystarcza sama tylko poczciwość; że kompromis w wyżej przytoczonym wypadku właśnie dowiódł tego; że sprawiedliwość wyroku jego i formalnie i istotnie zyskałaby na uwzględnieniu wskazówek prawnika.

Broszura pana P. robi wrażenie takie, jak gdyby po wysłuchaniu świetnej mowy pogrzebowej, wypowiedzianej przez znakomitego mówcę, złapał nas gdzieś za węgłem jakiś jegomość i jąkając się a wściekając przytem z gniewu, począł dowodzić, że orator to łobuz, demokrata, krętacz, adwokat, socyalista, a zatem nihilista.

Pan P. wplątał w sprawę i prelekcyę Spasowicza o Polu i mieszczaństwo i Voltaire'a i wszystko na świecie, co nie takim gada głosem jak autor.

Wyznać trzeba, że gdy zasad wstecznych broni wprawne pióro, to się czyta obronę ze wstrętem, ale z pewnem zajęciem: ale gdy filippika jest nędznie napisana, to wywołuje raczej śmiech i politowanie. Takie wrażenie robi w istocie pisanina p. Podoskiego.

Na jeden jej tylko ustęp chętnie się zgadzamy: o rękopiśmie broszury swojej pan P. powiada: „Dziś, kiedy po długiem zaginieniu odnalezionym został, *może* nie warto było go drukować, bo nie zaleca się ani wartością literacką, ani tem, że jest na czasie.“ Święta prawda! Ale żeby była jeszcze świętszą, niech autor podkreślone *może* wyrzucić raczy.

A. Podbereski. **Materyały do demonologii ludu ukraińskiego.** Z opowiadań ludowych w powiecie czehryńskim. Kraków. 1880. W 8-ce str. 82. (Odbitka z IV tomu Zbioru Wiadomości do antropologii krajowej).

Zbiór podań, wierzeń, zabobonów, leków i zamawiań nadzwyczajnie zajmujący i ważny. Występują tu przeważnie legendy mało znane, z widocznymi śladami żywego słowa ludowego. Dla mitologów nieocenionny przyczynek, niezbędne dopełnienie pracy Nowosielskiego (Marcinkowskiego), a nawet, jako lektura, rzecz wcale zajmująca, bo barwnie spisana. Język trochę zanieczyszczony prowincyonalizmami i rusycyzmami.

J. Kirszrot. **Dziesięcioletnia działalność kasy pożyczkowej przemysłowców warszawskich.** Warszawa. 1880. W 8-ce m. str. 42.

1 lutego roku 1880 upłynęło dziesięć lat od chwili, gdy skromnemi środkami, z kasą pełniejszą nadziei niż pieniędzy, w mieszkaniu p. Aleksandra Temlera, otworzono instytucyę, mającą udzielaniem pożyczek uwolnić drobniejszy handel i przemysł stolicy od śniedzi lichwiarskiej. Mało kto wierzył w powodzenie tej kasy, więc z początku ciężko szło i z dostaniem pieniędzy na obroty i nawet z przystępowaniem członków do instytucyi, która na sztandarze swoim wypisała wzajemność, a więc i wspólność strat i odpowiedzialności. Lecz ofiarność i uczucia obywatelskie takich ludzi, jak Leopold Kronenberg i kilku innych, dopomogły nowo narodzonemu zakładowi przetrwać najtrudniejsze lata próby. Już w 1873 r. nie potrzebował on cudzych zasiłków i odtąd postępuje naprzód o własnych siłach.

Z poucającej, jasno i zwięźle napisanej książeczki p. Kirszrota zaczerpniemy kilka szczegółów, malujących dzieje i stan obecny tej prawdziwie pożytecznej instytucyi.

Uczestników ma obecnie ona przeszło 5.000; funduszu zakładowego miała z końcem r. 1879 prawie 270.000 rub.; kapitału zapasowego przeszło 75.000 rubli i nadto funduszu zarezerwowanego na wszelki wypadek przeszło 6.000 r. „Każdy uczestnik, który wniósł 50 r., ma kapitał ten zachowany w całości, dostaje od niego corocznie wysoki procent i nadto partycypuje w kapitale rezerwowym, wymagalnym przy likwidacyi spółki, sumą 15 r. 45 kop.“ (str. 15).

Po kilku latach istnienia kasa wyrobiła sobie taką ufność, że kapitały płynęły do niej na lokatę wcale obficie. W r. 1879 złożono ich przeszło 885.000. To umożebniło kasie udzielanie pożyczek członkom swoim, tak iż w ciągu 10 lat rozdała takowych nie mniej nad *dwadzieścia jeden przeszło milion rubli.*

„Ta jedna cyfra starczy za całe sprawozdanie, powiada pan K. str. 23. Gdybyśmy nic więcej nie powiedzieli, jak tylko, że kasa przemysłowców w ciągu 10 lat udzieliła drobnemu i średniemu przemysłowi i handlowi kredytu przeszło na 21½ miliona rubli, już byśmy dostatecznie określili całą doniosłość ekonomiczną i społeczną użytecznej tej instytucyi.“

Czy jest to wadą kasy, że w ostatnich latach „zaciera wyłączne swe cechy (przychodzenia w pomoc kredytem *drobnemu* przemysłowi i handlowi), stając się podobną do innych instytucyj bankowych“ (str. 27)? Wątpiłbym; sądzę bowiem, że zbyteczne trzymanie się pierwotnie nakreślonego szematu prowadzi do skostnienia i formalizmu; owszem, zdaje się, że każda instytucya, ulegając wpływom czasu i okoliczności, musi się zmieniać, a raczej rozwijać; a zresztą, dopóki kasa przemysłowców łączy w sobie charakter zakładu pożyczającego drobniejsze kwoty z cechami większego banku, to nie mamy prawa jej robić z tego wyrzutu; owszem, cieszyć się powinniśmy, że zdwajając swą działalność, dwojako i podwójnie staje się pożyteczną.

Ciekawym i mało znanym szczegółem jest, że w obrotach kasy „nader ważną operacyę stanowią pożyczki na przekazy kolei żelaznych i towarzystw transportowych. Rzemieślnicy i przemysłowcy tutejsi, wysyłając towary do Rosyi, nakładają na drogi żelazne i towarzystwa transportowe obowiązek zrealizowania wartości przy wydaniu ich w miejscu przeznaczenia. Przekazy te (Nachnahme) Kasa Przemysłowców eskontuje i tem przyczynia się do ułatwienia wywozu produkcyi krajowej na rynki rosyjskie. Z operacyi tej korzystają przeważnie szewcy warszawscy, którzy, jak wiadomo, wysyłają znaczne transporta obuwia do Rosyi.“ (str. 28). Takich przekazów eskontowała kasa w roku 1879 przeszło an 84.000 rubli.

Mało też wiadomą jest rzeczą, iż rzemieślnicy z zakładów Lilpopa, Rau i Loewensteina lokują wkłady swe zbiorowo, dla uniknienia straty czasu i oszczędzenia urzędnikom kasy drobnostkowego zapisywania.

Samorząd kasy pozostawia wiele do życzenia: bardzo on jest nierozwinięty i niewłaściwie oparty na zasadzie cenzu, oraz dwustopniowych wyborów. Zgadzam się z p. Kirszrotem (str. 38), że ustawa, ograniczając rolę zebrań ogólnych do samych wyborów, a całą władzę składając w ręce 50 reprezentantów, odskoczyła daleko od pierwotnej czysto demokratycznej i autonomicznej zasady Delitscha. Dobrze tak jest, póki ci panowie senatorowie są uczciwi i rozsądni; ale przypuściwszy inny skład ciała reprezentantów, jakim torem pójdą wówczas losy instytucyi? Lepszemi byłyby zgromadzenia ogólne uczestników, jak to jest w spółkach zaliczkowych na Litwie: dopóki udziały są równe, każdy uczestnik równy głos miećby powinien.

Notujemy także założenie w r. 1877 przy kasie przemysłowców kasy przezorności i pomocy dla jej urzędników, której fundusz w końcu r. 1879 wynosił prawie 8.000 r.; połowę tej kwoty kasa przemysłowców ofiarowała na fundusz emerytalny jednorazowo ze swych zapasów.

Dr. Rostafiński. **Burak i Barszcz.** Nazwa i rzecz. Ich pochodzenie i znaczenie w kolei czasów. Kraków. 1880. W 8-ce str. 28. (Odbitka z VIII tomu Rozpraw Akad. Krak. filolog).

Lingwistyka, a zwłaszcza gałąź jej, zwana słoworodem lub etymologią, przedstawia czasami takie kręte i ciemne drogi, że bez światła innych nauk łatwo jest językoznawcy na nich się zabłąkać. I tak na-

przykład dochodzenie słoworodu i kolejnych przemian znaczenia roślin, bez pomocy botaniki i historyi botaniki, staje się niepospolicie trudnem. Pożytecznie więc jest dla nauki, gdy językoznawca zespala siły swe z botanikiem i zdwojoną potęgą na trudność uderza. Profesor Rostafiński dowiódł nam jednak, że botanik, przy szczerej chęci, może się obejść i bez językoznawcy; gdy wie gdzie prawdy szukać i posiada zmysł krytyczny, trafi i sam do celu. Widzimy to na rozprawce, której tytuł wypisaliśmy wyżej. Skromnym jest on i skromnym zakres dochodzenia; ale zasoby naukowe, zużyte na nią, są ogromne: szanowny autor zasięgał zdania nietylko kilkudziesięciu zmarłych swych poprzedników fachowych, ale nie omieszkał zapytywać i żyjących, dalszych i bliższych pracowników obu fachów, byle tylko wszechstronnie a gruntownie rzecz zbadać. To też uczynił to doskonale: objaśnił przejście znaczenia trzech odrębnych roślin w kolei wieków i wyświetlił pochodzenie ich nazwisk; wywody jego w obu razach są ściśle naukowe i trafne, a do tego wyłożone jasno i dostępnie, tak iż rozprawkę czytać będzie każdy człowiek ukształcony z przyjemnością i pożytkiem.

Niech mi wolno będzie parę uwag z powodu zawartych w niej szczegółów uczynić.

Nasamprzód w imieniu języka polskiego, (którym zresztą pan R. wybornie włada) protestuję przeciw napotykanemu w broszurze a szerzącemu się u nas, głównie w Galicyi, zwyczajowi stawienia w pewnych razach przymiotnika przed rzeczownikiem, na manier niemiecko-rosyjski: taki szyk, jak w następnych przykładach, przeciwnym jest tradycyom języka polskiego: leczniczy środek, ogrodowych grzędach, w romańskich językach, sukienne postrzyżyny, ordynarna wełna (str. 4 i 5) i t. p.

Nie mogę się też zgodzić ze zdaniem prof. L. Malinowskiego, przytoczonem w broszurze, jakoby wyraz *ćwikła* był bezpośrednio pochodzenia greckiego i podzielam mniemanie pana R., że dostał się do nas przez zachód Europy, jak sądzę, przez czechów (cvikla). Nie uważam też za rzecz stosowną nazywania języka starosłowiańskiego *starosłowieńskim*, bo to wygląda na przedwczesne przesądzenie sprawy najbliższego pokrewieństwa języka tego ze słowieńskim, czyli mową słowieńców.

Serbska nazwa barszczu brzmi nie *boraż dże* (str. 5), ale *boraždje*.

Niemiecki wyraz *Mangold* (str. 9) nie wiemy stanowczo, czy w drugiej swej części od *hold heil* pochodzi. Schmitthenner-Weigand inaczej sądzi.

Kwaszenina (str. 10) na Litwie znaczy dziś tylko rodzaj galarety z mięsem głowy wieprzowej.

Czy *barszcz* z niemieckiego *barsch* pochodzi? (str. 25 i 26) wątpię. Myślałbym, że raczej z niemiec. wyrazu *Boretsch* lub *Borretsch*, oznaczającego właśnie barszcz, a będącego przekręceniem włoskiego wyrazu *borràggine*, lub francuskiego *bourrache*. Dlatego też można przypuszczać, iż pierwotnie brzmiał wyraz ten u nas *borszcz*, czego dowodzi zabytek przez pana R. przytoczony, oraz litewska postać *bàrszczei*, któraby brzmiała raczej *bórszczei*, gdyby od wyrazu polskiego *barszcz* pochodziła (porównaj litews. żmudz. barsùkas, baravykas — borsuk, borowik prowincyon. nazwa gatunku grzyba), a także rusińskie formy: *borszcz*. To *a* znalazło się u nas może przez niewczesną gorliwość „odchylenia," że tak powiem „gminnego" mylnie tu uczuwanego *á*.

Rozprawa pana Rostafińskiego nasuwa mi następną myśl i prośbę: gdyby też szanowny autor, który tak dzielnie gospodarzyć umie i na łące językoznawczej, raczył obdarzyć nas obszerną księgą, badającą dzieje poznawania i wprowadzania do nas roślin, oraz przejścia ich nazw i znaczeń; coś nakształt słynnej pracy niemieckiej Wiktora Hehna. Doskonała znajomość botaniki i jej dziejów dostarczyłaby językoznawczym wywodom autora niezbitej zasadności, do której zwykli lingwiści w tym razie nie mogliby rościć prawa.

Jan Karłowicz.

Słówko o programach.

Cudzoziemski rzeczownik: program, posiada w naszym języku prawie tak obszerne znaczenie, jak wyraz zwierzę.

Wyraz: zwierzę — obejmuje zarówno śledzia, jak i wieloryba, lwa i wymoczka, słonia i mysz. Wyraz: program równie dobrze przypomina obiady, koncerta, zabawy tańcujące, widowiska sceniczne, — jak i prace spółek ekonomicznych, ciał uczonych, zebrań prawodawczych, a nawet — przyszłe dzieje narodów.

Jest to więc prawdziwy fortepian, posiadający mnóstwo klawiszów, od najniższego basu, do najwyższego wiolinu. Grać na nim można jak kto chce i wygrać — co się komu podoba.

Ponieważ nie należę ani do kompozytorów, ani do wykonawców, więc w obecnym artykule nie odegram żadnej sztuki, któraby wstrząsnęła nerwy słuchaczów. Chcę tylko zastanowić się nad ogólnemi cechami tonów, czyli: programów, przedewszystkiem mając na uwadze to, co nazywamy: „programami społecznej doniosłości."

Od tej chwili młode panny, smakosze i twórcy zabaw towarzyskich, odłożą zapewne na bok mój artykuł. Ale za to wezmą go do ręki wszyscy mężowie stanu *in partibus*, tudzież — kandydaci do ich posad.

Omylą się jednak panowie ci, jeżeli sądzą, że kwestyę programów społecznych będę traktował z namaszczeniem, odpowiadającem tak „ważnej sprawie." Omylą się tem bardziej, jeżeli (co zdarza się niekiedy) zechcą upatrywać w artykule „natchnień pochodzących z góry," albo „uchylenia rąbka zasłony ukrywającej przyszłość." Bo jeżeli pragnąłbym uchylić jakąś zasłonę, to chyba tę, która zwie się: lenistwem myśli, w sprawach najczęściej obrabianych przez — języki.

Nie zacznę więc od wyrazów: porozumienie, zjednoczenie, przyszłość Europy w ogóle a słowiańszczyzny w szczególności, — ponieważ rzeczy te, słusznie, czy nie słusznie, uważam za brednie. Natomiast postaram się zaprowadzić czytelnika do najniższych piętr gmachu, oznaczonego słówkiem: program.

Wyobraźmy sobie: programy: koncertu, widowiska, obiadu, balu a nawet — szeregu odczytów. Otóż po za każdem z tych określeń widzimy stale trzy rodzaje czynników:

Naprzód — autora programu.
Powtóre — wykonawców.
Po trzecie — publiczność.

Idźmy dalej.

Publiczność poddająca się skutkom programu, zawsze pragnie, ażeby ją zadowolono, to jest: zaspokojono jakieś jej potrzeby. Autor obmyśla program dorzeczny lub niedorzeczny o tyle, o ile zna gust i potrzeby publiczności. Wykonawcy zaś mogą zepsuć najlepszy program.

I znowu krok dalej.

Autor i wykonawcy, za swoją pracę, chcą być wynagrodzeni — duchowemi lub materyalnemi, a najczęściej materyalnemi dobrami. Publiczność zaś musi nietylko cieszyć się, ale i — płacić.

Publiczność jest tak chciwą wrażeń, że na każdy koncert dostarczy słuchaczów; zarówno na symfonię Bethowena, jak i na katarynkową aryę. W łonie jej kryją się ludzie tak skromni, że wdzięcznem sercem przyjmą nawet porcyjkę flaków i — tak wymagający, że pogardzą każdą ucztą, na której nie będzie szampana i ostryg. Wszyscy oni jednak mają tę wspólną cechę, że, zawsze będąc gotowymi do wybierania i krytykowania potraw, nigdy nie myślą o tem: czem zapłacą?..

Tymczasem pytanie: ile zapłacisz — i — czem zapłacisz?... stanowi fundamentalną część każdego „programu." Ja ci zagram, a ty — płać. Ja cię nakarmię i ubawię, ale ty — zapłać. Czy się podoba moja arya, czy strawisz mój obiad, to kwestya przyszłości. Ale zapłacić musisz z góry, bo inaczej — nie będzie tańców...

Niestety! o tej elementarnej prawdzie, wciąż zapominają nasi mężowie stanu *in partibus* i kandydaci na ich posady.

W tem miejscu przychodzi mi na myśl mnóstwo przesądów, jak pijawki czepiających się wyrazu: program. Nie dotknę wszystkich, zwrócę przecież uwagę na jeden kapitalny.

Tym przesądem jest ogromna ważność, jaką przywiązujemy do osoby autora programu. Jeżeli autorem jest ktoś „z naszych znanych," albo „z naszych sympatycznych," wówczas jak owce biegniemy na widowisko, choćby nam zapowiedziano same plewy i obierzyny. Jeżeli zaś autorem programu jest „nowy człowiek," wówczas na jego pomysłach i na nim samym nie zostawiamy uczciwej nitki.

Tymczasem, w takiej sprawie, jak „treść" programu, ani nazwisko, ani kolor włosów, ani odzież autora nie znaczą nic. Niech autorem będzie Straus, Bilse, Wagner, Paweł, czy Gaweł, — wszystko jedno. Na odwrót — bardzo nas powinno obchodzić to: czy program posiada — rzeczywistą i praktyczną wartość?...

Gdybyśmy sięgnęli pamięcią w niezbyt odległe czasy, może okazałoby się, że ważnym powodem naszych kłopotów było: czepianie się osoby autora i — nierozumienie „treści" programu. Szczęściem, za ówczesne umysłowe lenistwo zapłaciliśmy tak grubo, że wątpię, aby dziś miał kto ochotę powtarzać ten sam błąd.

Drugim przesądem jest: pomijanie wykonawców programu, choć wykonawcy są najistotniejszym czynnikiem każdego zamiaru. Nie uda się żaden koncert, jeżeli członkowie orkiestry nie umieją grać i nie grają zgodnie. Ale, nad tą kwestyą nie będziemy się rozszerzali.

Przechodzimy do „treści" programu. Głównym bowiem zamiarem artykułu jest wyliczenie warunków, jakim musi odpowiadać program, ażeby oddał społeczeństwu rzeczywiste usługi.

Jeżeli „program obiadu" obiecuje zaspokoić nasze potrzeby odżywcze, a „program zabawy" — potrzeby estetyczne, więc „program społeczny" — musi obejmować potrzeby społeczne.

„Jak najmniej przykrości, jak najwięcej trwałego i różnostronnego szczęścia," oto cel wszystkich pragnień, bodziec wszelkich działań, powód wszelkich walk ludzkich. Oto wprawdzie nie zbyt jasna, ale fundamentalna idea każdego programu, który ma pretensyę nazywać się — *uczciwym.*

Każdy człowiek chce długo żyć, być zdrowym i sytym. Każdy lęka się śmierci, bólu, głodu i chłodu. Każdy goni za umiarkowanemi i rozmaitemi wrażeniami dla zmysłów, ruchami dla muskułów i za wypoczynkiem po pracy. Każdy nie lubi jednostajności i zmęczenia. Każdy chce mieć własność i rodzinę i głęboko odczuwa wymierzone przeciw nim zamachy. Każdy pragnie według woli zmieniać miejsce, zajęcia, stosunki, — każdy chce kochać, podziwiać, być wesołym lub rozrzewnionym, — chce nareszcie zaspokoić ciekawość, poznawać nowe przedmioty i ukryte przyczyny zjawisk. Przeszkody zaś, jakie napotyka w tej sferze pragnień, sprawiają

mu cierpienia, równające się fizycznemu bólowi.

Nie koniec na tem. Człowiek chce jeszcze być bezpiecznym, — niezależnym od kaprysu innych, — poważanym. A gdy już utrwali własne szczęście, pragnie, ażeby jego żyjące i martwe otoczenie było zadowolone i piękne.

Słowem przez całe życie dąży do tego, ażeby każdy jego nerw, każde muskularne włókno, każda mózgowa komórka była pobudzana i rozwijała się w harmonii ze wszystkiemi innemi.

A ponieważ tych nerwów, włókien i komórek jest zapewne około miliona, kombinować się mogą na miliardy sposobów i z biegiem czasu powiększa się ich liczba, więc też zakres ludzkich pragnień jest prawie nieskończony, nieskończona liczba celów do osiągnięcia, cierpień do unikania, przeszkód do zwalczenia.

Z powyższych uwag wynikają takie wnioski:

Każdy program musi mieć na celu powiększenie ilości rzeczywistego szczęścia, nigdy zaś — jakąś oderwaną teoryę. Na wskazywanie i wykonywanie celów abstrakcyjnych szkoda czasu i sił.

Żaden program nie może być obmyślany raz na zawsze, bo ludzkie potrzeby zmieniają się nieustannie.

Żaden program niezadowolni ani wszystkich ludzi, ani wszystkich uzdolnień jednego człowieka, bo nieskończona jest liczba potrzeb.

Dobry program musi obejmować: najpilniejsze potrzeby jak największej liczby ludzi w danym okresie czasu. W tedy dopiero zostanie *odczuty przez ogół*, co mu nada ogromną siłę.

Zobaczmy — jakich potrzeba warunków, ażeby mógł być napisany: „dobry program.“

Odpowiedź prosta. Ponieważ ma ono ogarnąć potrzeby jak największej liczby ludzi, milionów, więc należy:

Zebrać jak największą liczbę informacyj co do społecznych potrzeb, innemi słowy: zapytywać o nie wielu osób.

Dowiedziawszy się o wielkiej liczbie potrzeb, wybrać z nich najważniejsze i wspólne wielu ludziom.

Jeżeli ze 100 powiatów, 50 potrzebuje pieniędzy na poprawę pól, 90 na szkoły, 30 na osadzenie dróg drzewami, 10 na kosztowne budowle, to już program będzie dobrym i wówczas, jeżeli: obejmie żądanie funduszu na szkoły i na poprawę pól, pomijając przyozdobienie dróg i piękne budowle, chociaż — nie wszyscy będą z niego kontenci.

Słowem, jedną ze składowych części dobrego programu musi być: głos opinii. Jest to część jedna, ale nie jedyna, bo podobnie jak przeciętny śmiertelnik nie ma pojęcia o budowie i najważniejszych funkcyach swego własnego organizmu, tak opinia publiczna nie ma pojęcia: o budowie i funkcyach społecznego organizmu.

Skutkiem tego radcy i mężowie zaufania mogą np. domagać się zmniejszenia podatków wówczas, gdy należy powiększyć liczbę szkół. Mogą żądać wypędzenia cudzoziemców wtedy, gdy najbardziej potrzebuje ich przemysł. Mogą domagać się przywilejów dla kapitalistów, gdy potrzebne są ulgi dla klas roboczych.

Widzimy więc, że dobry program opierać się musi na gruntownej znajomości społecznego organizmu, jaką dać może tylko: dokładna, drobiazgowa i od wielu lat prowadzona statystyka danego kraju, w związku ze statystyką innych krajów.

Krótko mówiąc: „dobry program“ powinien mieć dwie nogi. Jedną jest dokładna statystyka i nauki społeczne, drugą — opinia publiczna. W każdym wypadku musi on być streszczeniem, esencyą prac zbiorowych, nigdy zaś utworem fantazyi, albo mówiąc grzeczniej: dziełem „własnych przekonań“ jakiegoś geniusza. Największą plagą społeczeństw są ci reformatorzy i ludzie opatrznościowi, którzy, zamiast streszczać potrzeby ogółu i jego pragnienia, — jak jedwabnik nitkę, wysnuwają programy z „własnego serca.“

Tyle o uczuciowej i umysłowej stronie programów. Pozostaje — strona techniczna.

Każdy człowiek ma mnóstwo przykrości, które radby usunąć i przyjemności, które chciałby osiągnąć, ale jednocześnie posiada: ograniczoną liczbę sił.

Znam takich, którzy chcieliby spłacić kilkanaście pozycyj długów, — wynająć ładne mieszkanie i — sprawić sobie buty. Mają zaś na to wszystko sześć rubli.

Otóż — cały program tych ludzi jest „dobry,“ ale praktyczną w nim wartość ma tylko paragraf dotyczący kupna butów. Resztę żądań trzeba schować na później.

Ten przykład wystarczy. Społeczeństwo posiada również mnóstwo żądań legalnych, uczciwych i pięknych, ale — siły ma ograniczone. Z tego powodu, w stawianiu programów praktycznych, trzymać się musi następnych prawideł:

Nie zamierzać więcej nad to, na co w danej chwili pozwalają siły.

Te siły, jakie istnieją w społeczeństwie, użyć tak, ażeby nietylko nie zostały zmarnowane, ale przyniosły najlepszy procent, już to w formie usuniętych przykrości, już — nabytych wygód i przyjemności.

Zasada:

„Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar według sił,“ — z praktycznego punktu widzenia rzeczy nie jest nic warta.

Ostatnia uwaga.

Gdy już został napisany „dobry i praktyczny“ program, trzeba jeszcze dwu małych drobiazgów.

Po pierwsze — ażeby ogół *zrozumiał* go, do czego niezbędną jest oświata.

Po drugie — ażeby każdy obywatel sumiennie wypełnił przypadającą na niego cząstkę programu, do czego potrzebne jest: *poczucie obowiązków*, inaczej — karność, czy solidarność społeczna, bo mniejsza o wyraz.

Jakież zatem są warunki, ażeby mógł w kraju utworzyć się program i wcielić się w życie?...

Oto takie:

Dokładna i wszechstronna znajomość wszystkich potrzeb i sił społeczeństwa. Jak największa liczba głosów mówiących o tych kwestyach, czyli: o sprawach publicznych. Rozsądek i powszechna oświata, a nareszcie — społeczna karność.

Dużo byśmy zyskali, gdyby, w braku jakiegoś dalszego programu, te — przedprogramowe czynności, stały się celami ogółu.

Bolesław Prus.

LIBERUM VETO.

Igrzyska w prasie rosyjskiej. — Spór osła z rumakiem. Działanie artyleryi. — Sołowiew i Żukowski. — Skromne żądanie p. Aksakowa. — Szampańskie przeciw „oczyszczennoj.“ — Królestwo Polskie jako stacya transitowa. — Rany bezwarunkowo śmiertelne. — Rozmowa z ks. Bismarckiem o polakach.—Cham. *Wurst!*

Zacięta, jak nigdy może, walka dwu obozów gazet rosyjskich przedstawia niezmiernie ciekawy obraz. Gdybym był Neronem i posiadał moc urządzenia sobie okrutnych widowisk, kazałbym codziennie moskiewskim tygrysom potykać się z petersburskimi gladiatorami. Ryk, rozpaczliwe pasowanie się, duszenie za gardło, zapuszczenie kłów, bryzgi krwi i od czasu do czasu oklaski zachwyconego teatru — wspaniałe igrzysko! Czasem znowu staje się ono walką byków lub kogutów, a czasem po prostu nowozelandczyk morduje europejczyka, nadziewa go na rożen, opieka przy ogniu i zjada ze smakiem.

I jakiż cel tych zapasów, jeżeli one cel mają? Czy Rosya na rumaku liberalnym winna popędzić naprzód, czy na ośle reakcyjnym cofnąć się w tył? Obie strony wyczerpują wszystkie argumenta, każą świadczyć żywym i umarłym, przyjaciołom i wrogom, ażeby, jeśli nie zwyciężyć, to przynajmniej utrzymać plac boju. We wszelkich kampaniach dziennikarskich naprzód się potyka lekka kawelerya literacka, a za nią idą działa poważnej nauki. W polemice gazet rosyjskich zaczęła właśnie operować artylerya. *Rusk. Wiedomości* wytoczyły armatę najcięższego kalibru, historyka Sołowiewa, który mówiąc o reakcyi, w jaką wegnał Rosyę przed kilkudziesięciu laty Metternich, tak pisze: „Rząd, chcąc nie bać się niczego, powinien być liberalnym i silnym. Liberalnym dlatego, żeby pielęgnować i rozwijać w narodzie siły żywotne, ustawicznie go skrapiać świeżą wodą, nie dopuszczać w nim zastoju i zgnilizny, nie zatrzymywać go w stanie dzieciństwa, niemocy moralnej, która czyni go niezdolnym do odbicia i spokojnego, jak na ludzi dojrzałych przystało, zastanowienia się nad każdym ruchem, wszelką nowizną, oraz krytycznego ocenienia każdego zjawiska... Rząd silny ma prawo być bezkarnie liberalnym; tylko krótkowidze uważają rządy nieliberalne za silne i sądzą, że one moc tę zdobyły środkami nieliberalnymi. Gnębić i tłumić — rzecz bardzo łatwa, do tego nie potrzeba szczególnej siły.“ Obok Sołowiewa tenże dziennikarski kanonier postawił przeciw *Mosk. Wiedomostiom* inne, może jeszcze skuteczniejsze działo, poetę Żukowskiego, nauczyciela umarłego Cesarza Aleksandra II, który takie dawał przestrogi swemu dostojnemu wychowańcowi: „Zwracaj uwagę na głos publiczny; on często bywa przewodnikiem monarchy, jego najwierniejszym pomocnikiem, bo najsurowszym i najbezstronniejszym sędzią jego woli wykonawczej. Głos publiczny jest zawsze po stronie sprawiedliwości.“

Na granaty i kartacze prasy petersburskiej p. Katkow odpowiada pluciem. Zdaje się wszakże, że mu już ślin zbrakło.

Zato wypoczęty po trudach słowianofilskich p. Aksakow grzmi zawzięcie na liberalizm ze swej odtylcowej mitraliezy. Miły Jezu, jak temu skromnemu człowiekowi mało potrzeba. Chce cofnąć Rosyę *tylko* do czasów przed Piotrem W. Od tej bowiem pory — według jego słów świeżo wypowiedzianych na zebraniu Towarzystwa Słowiańskiego — stara Ruś, uwiedziona przez postęp, napłodziła z nim *tylko* dzieci nieprawych. Wszystkiemu winien Zachód, który zalawszy Rosyę szampańskiem wyparł z niej dawną, poczciwą „oczyszczoną.“ Przed paru laty znajdowałem się na kazaniu, w którem mówca, oburzony zepsuciem czasów obecnych, taką wywiódł genealogię złego: naprzód pojawił się spirytualizm, potem mormonizm, potem idealizm, potem massonizm, potem materyalizm, potem atawizm... i ten właśnie gospodaruje między nami. Dziś dopiero, przeczytawszy filipikę Aksakowa przeciwko Zachodowi i liberalizmowi, widzę, że ów kaznodzieja miał zupełną słuszność. Rzeczywiście bowiem w twierdzeniach szan. słowianofila czuć atawizm i to atawizm bardzo odległy, darwinowski. Zaznaczając ten fakt późnego dziedzictwa, jednocześnie winienem zwrócić uwagę moich ziomków, na niebezpieczeństwo, jakie nam grozi ze strony p. Aksakowa. Wiadomo, że odznacza on się nieugiętą konsekwencyą w rozpowadzaniu do krańców swej maligny. Ponieważ zaś, według niego, winnym nieszczęść Rosyi jest Zachód, my zaś względem *Rusi* (organ p. Aksakowa) leżymy na zachodzie, kto wie zatem, czy

pewnego pięknego poranku „Kraj Przywiślański“ nie zostanie ogłoszony co najmniej jako stacya transitowa dla liberalnego dynamitu, przybywającego z zagranicy. Po próbach wynalazczości p. Katkowa nie możemy być dość pewni, tem bardziej, że słowianofile wyłączyli Polskę, jako wyrodną córkę, ze słowiańskiej rodziny.

Dla objaśnienia wreszcie śmiertelnych skutków liberalizmu, pozwolę sobie użyć drobnego przykładu.

Przed kilku dniami toczyła się w jednym z sądów warszawskich sprawa kryminalna: mąż złapawszy kochanka ze swą żoną, strzelił do niego, i zranił. Ranny jednak wyzdrowiał. W czasie posiedzenia sądu obrońca oskarżonego w zapale badawczym pyta biegłego lekarza:

— Czy zadane rany były *bezwarunkowo* śmiertelne, czy też warunkowo?

— Ależ zlitujże się pan — odpowiada lekarz — jakże mogły być *bezwarunkowo* śmiertelne, jeżeli zraniony siedzi zdrów w sali.

Podobnie p. Aksaków w chwili, kiedy jego ojczyzna stała się potężnem mocarstwem, dowodzi, że rany, jakie jej zadał Piotr W. były *bazwarunkowo* śmiertelne.

W jednym z pokątnych dzienniczków niemieckich, w *Märk'sches Intelligenzblatt* jakiś poseł (podobno v. Below) pomieścił małą rozmówkę z ks. Biskarckiem przy kufelku piwa. Są w niej sądy smakosza o rozmaitych gatunkach gambrynusowego napoju, są w niej poufałe żarty z pijących i niepijących deputatów, ale nareszcie jest kilka słów o... polakach. Mianowicie gdy poseł wspomniał nagannie o wystąpieniu niejakiego Hundta w sejmie, książę odparł: — „Nie rozumiem tego, kochany v. X.; Hundt miał bardzo dobry instynkt. Czytałeś pan wczorajszą *Nordd. Allg. Zeitung?*

— Czytałem, ale..

— Żadne *ale*; trafił w sedno. Nie będę tego stanowczo utrzymywał, że jezuicka dresura wykształciła w polakach talent spiskowania; trudno wszakże zaprzeczyć, że jest to formalnie ich wada narodowa. Berezowskich istnieje cała masa. Kulmann jakiś czas należał do stowarzyszenia polskiego w Pszczynie. Pierwiastki polskie wszędzie mi przeszkadzają, a przytem postępują tak zręcznie, że nie można ich złapać. Weź pan d-ra Polakowskiego, anti-semitę, i żyda Kantorowicza, który wszczął taką burdę w tramwaju — powiesz pan, że to ogień i woda, a jednakże jestem przekonany, że oni noszą jedną skórę i przeszkadzają mi do zgody. Że walka wyznaniowa (*Kulturkamf*) zaszła tak daleko, głównie zawdzięczać to należy polakom. Znam całe to społeczeństwo, które nas dopóty drażniło, aż musieliśmy chwycić się ostatecznych, mojem zdaniem nieszczęsnych środków. O Ledóchowskim nie potrzebuję mówić, potem wystąpił nuncyusz Czacki, Koźmian, kanonik Borowski, niebezpieczne indywiduum... zresztą nie chcę wymieniać nazwisk. Zbytecznem również byłoby mówić o polskich redaktorach *Germanii* — obecny jej redaktor główny zręczna sztuka — wszystko to się wiąże jak łopiany i tak szalenie agituje, że ostatecznie musimy się wdać. Najchętniej wpakowałbym ich do rot aresztanckich (Strafkompagnie).“

— Czy mogę rozmowę naszą ogłosić?— spytał poseł.

— *Das ist mir ganz Wurst*“ — odrzekł kanclerz.

Z powyższej rozmowy jednak tryska dla nas źródło pociechy: jeszcze coś ważymy na świecie, kiedy wszechmocny Bismarck nie daje sobie z nami rady. Do pewnego więc stopnia możemy również powiedzieć, że on dla nas jest *Wurst*. Bez przesady. Ks. Bismarck może jeszcze pożyć w najlepszym razie lat 20, a my... Jeśli więc go nie zwyciężymy, to przeżyjemy. Smutna okoliczność dla junkra!

Tak nas dziś zajęły sprawy zewnętrzne, że wewnętrzne odłożyć muszę do następnego tygodnia, w którym może pp. Katkow, Aksaków, Pindter i Bismarck — piękne towarzystwo — ochłoną z delirium polakożerstwa.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Sprzeczności, objawów niezwyczajnych w stosunkach naszych społecznych i prawnopolitycznych nie brak; kto wie jednakże, czy nienajgorszym jest ten rozbrat, jaki zachodzi pomiędzy literą i duchem pisanego prawa a zastosowaniem w praktyce. Wspominam tu o nim, ponieważ niemal wyłącznie a przynajmniej przeważnie po „głębokiej prowincyi“ rozsiadły się te latorośle, które ostatniemi czasy przesadzono w grunt, aby uszczęśliwić kraj całkiem nieznanym dotychczas gatunkiem społecznej flory. Już w perspektywie naszej, przesunęło się kilka widoków tego rodzaju. Zazwyczaj rzecz streszcza się w tem, że najwyższa instancya poprawia błędy niższych, te ostatnie zaś, przyjąwszy orzeczenie władzy do wiadomości, robią sobie dalej po swojemu. Z tej samej szkoły wyszedł prawdopodobnie Zjazd łomżyński, którego wyrok świeżo znów unieważniony został przez senat, ponieważ sparodyował przysięgę, odebrawszy ją od świadka w języku, którego on nie rozumiał. Nie dalibyśmy ani „złamanej pół kopiejki“ za to, że ów Zjazd nazajutrz po utrzymaniu decyzyi senatu, postąpił sobie znowu po dawnemu. Jakiś upór w złem opanował pewne sfery. W ten sposób chyba objaśnić można tę ignorancyę zasadniczych podstaw prawa, to rzucanie do kosza orzeczeń wyższych instancyj, którego tyle widzieliśmy niedawno przykładów.

Czem atoli objaśnić taki objaw, jeśli podobna znowu, przynajmniej w zewnętrznej formie, ignorancya objawia się w samem społeczeństwie, które nie korzysta z przywilejów nadanych przez ustawy, jakby nie wiedząc o nich? Niewiadomością tłómaczył się ksiądz prefekt płocki i wielu innych jego kolegów, którzy po dziś dzień jeszcze nie wprowadzili wykładu polskiego do nauki swego przedmiotu. Czyżby wszelako nieznaną była np. gminom wiejskim ustawa o pełnomocnikach gminnych? Skargom na nadużycia wójtów i pisarzy — którzy nawiasem powiedziawszy, także często nie są bynajmniej godni zazdrości — niema końca, a tymczasem mało gdzie korzystają z instytucyi pełnomocników, ustanowionej właśnie do intelektualnej pomocy, rady i kontroli moralnej dla urzędu gminnego. Najwyższy ukaz z d. 22 grudnia 1879 r. wprowadzony w wykonanie decyzyą Senatu Rządzącego z d. 15 stycznia 1880 r. za Nr. 1765 ustanawia pomienionych pełnomocników honorowych po dwóch w każdej gminie. Są oni wybieralni, zatem powoływani być mogą z ludzi odpowiednio uzdolnionych, inteligentnych, którzy stanowiąc rodzaj gminnej rady stanu, wpływać mogą na bieg spraw nader dodatnio. O ile jednak wiemy, dotychczas w niewielu dopiero gminach instytucya pełnomocników weszła w życie. Dlaczego? Czy skutkiem apatyi interesowanych, czy też inicyatywa w tym kierunku zależy od panów naczelników powiatowych? Tak czy inaczej, mogłoby się prawu stać zadość.

Ćwiczenia lingwistyczne w sądach gminnych wydają czasami i humorystyczne owoce. Jak czytamy w *Korespodencie Płockim*, sąd okręgowy tamtejszy sądził w zeszłym miesiącu sprawę „arcypocieszną“ w swoim przebiegu, jak się wyraża cytowane pismo. Pełnomocnik prywatny, podając w imieniu swego klienta skargę od wyroku sądu gminnego, napisał ją tak niefortunnie „z kiepska“ po... rosyjsku, że ten nieudały utwór stylistyczny zaprowadził go aż na ławę oskarżonych razem z klientem. Powiedziano bowiem w skardze, że sąd gminny wydał postanowienie bezrozumne (*bezumnoje*), które to wyrażenie zawiera obrazę sądu i podlega karze z artykułu 283 kodeksu. Napróżno oskarżony tłómaczył się, że nie wiedział dokładnie znaczenia wyrazu *bezumnyj*, że chciał powiedzieć *bezzakonnyj*, którego to wyrazu nawet w innym ustępie skargi użył rzeczywiście, lecz *bezumnoje* z *bezzakonnem* tak mu się jakoś pomięszało, iż nie dostrzegł różnicy treści tych dźwięków. Mimo tego szczerego tłómaczenia i mimo obrony usilnej adwokata, pełnomocnik skazany został razem ze swym klientem. Będą oni już teraz pamiętali, co znaczy *bezumnyj* a co *bezzakonnyj*. Lekcya ta wszelako nie ubezpieczy innych od podobnych przypadków, w które ludziska popadają mimowolnie. Cześć sądu gminnego została pomszczoną; ale wypadki podobne trwać będą dalej.

Kult osławionego w rocznikach prasy naszej Orłowskiego kwitnie w różnych stronach kraju wcale dla siebie pomyślnie. Jednej z gazet donoszą z Wołkowyszek, że w okolicy tamtejszej „namnożyło się dużo band rabusiów i złodziejów.“ Niedawno na dom księdza we wsi S. napadło sześciu jakichś zamaskowanych ludzi. Związawszy całą służbę, złoczyńcy zażądali od księdza wszystkich pieniędzy, jakie miał u siebie. Znaleziona w komodzie suma 2,000 rs. nie zadowoliła łotrów. Skrępowali księdza, zabrali mu klucze od kościoła, a otworzywszy nimi skrzynie kościelne, przywłaszczyli sobie niemal całą ich zawartość. Poszukiwania przedsięwzięte przez policyę dotychczas są bezowocne. Opowiadają, że banda ta ma herszta, który często za pośrednictwem swych agentów toczy układy z osobami zrabowanemi i za umówionem wynagrodzeniem zwraca im rzeczy zabrane. Świadczy to o wzorowej organizacyi— ale bandy opryszków.

St.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 7 marca.

Rozpoczynający się dziś w Petersburgu proces przeciw uczestnikom zamachu 13 marca pochłania znowu w sobie uwagę publiczną Europy, tak że zwykłe sprawy polityczne nie budzą obecnie szczególnego zajęcia. Jedyną kwestyą, której towarzyszy większe zainteresowanie, jest związany organicznie z katastrofą petersburską projekt przedsięwzięcia przez rządy wspólnych środków represyjnych w celu stłumienia rewolucyjnych prądów. Wspólność niebezpieczeństwa, jakie dla istniejącego porządku rzeczy stanowić mają dążności „międzynarodówki“, nihilizmu i socyalizmu, pobudziła rządy do poczucia solidarności w obronie i chwycenia się środków zapobiegawczych wspólnemi siłami. Tak postawiono myśl samą w zasadzie; w zastosowaniu zaś miała ona prowadzić do ograniczenia tak zwanego prawa przytułku dla wychodźców politycznych, przebywających w krajach obcych i do wydawania przestępców. Jakkolwiek w pierwszej chwili wydawać się mogło, że pod wrażeniem tragicznej katastrofy opinie rządów europejskich łatwo się do takiego kroku nakłonią, to przecież bardzo krótki czas wykazał mylność takiego przypuszczenia. Opinia publiczna w państwach zachodnich z góry się oświadczyła przeciw wszelkiej szerszej

akcyi w tym kierunku, tak że prawdopodobnie na razie nawet propozycya stawioną nie będzie. Natomiast inicyatywa przeciw działaniu rewolucyi ograniczyła się do żądania ustanowienia międzynarodowych przepisów, orzekających wydawanie zabójców głów koronowanych i uczestników zamachów, które mają na celu morderstwo. Jestto więc tylko wykluczenie morderstw ze sfery przestępstw politycznych. Pierwszy wystąpił w tym kierunku urzędownie parlament niemiecki, uchwalając wniosek Windhorsta, o którym mówimy na wstępie.

Na groźną burzę zaniosło się na północnych wybrzeżach Afryki, gdzie dawno jątrząca się sprawa współzawodnictwa Włoch i Francyi o władztwo nad Tunisem, zdaje się zbliżać do katastrofy. Nadgraniczne (od Algieru) plemiona tunetańskie napadły na posterunki francuzów. W starciu wojsko francuskie straciło kilkunastu poległych i rannych. Nadto tunetańczycy wymordowali ekspedycyę francuską, która pod dowództwem półkownika Flattera wysłaną była dla zbadania okolicy, upatrzonej do rozpoczęcia kolei Sahary. Naturalnie, wypadki te pobudzić musiały rząd francuski do energicznego wystąpienia z siłą zbrojną. Faktów, któreby pouczały o rozmiarach zamierzonego działania Francyi, nie ma jeszcze; ale utrzymują, że korpus 15 do 20.000 żołnierza wkroczyć ma do Tunisu, co może się zakończyć częściową aneksyą tego kraju. We Włoszech zapanowało silne wzburzenie umysłów, a dziś właśnie w parlamencie sprawa ta jest przedmiotem interpelacyi. W ciągu najbliższych dni kwestya powinna zarysować się w kształtach jasnych i bliżej określonych.

Wczoraj miała być doręczona rządowi greckiemu „identyczna“ nota państw kongresowych, z uwiadomieniem o porozumieniu się z Turcyą co do regulacyi granicy. Utrzymują, że Grecya odrzuci ofertę, upierając się przy granicy wytkniętej na konferencyi berlińskiej.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy polityczne i społeczne. Departament poczt i telegrafów oraz obcych wyznań przyłączone zostały do ministeryum spraw wewnętrznych.

Na miejsce dotychczasowego ministra Oświaty p. Saburowa, który podał się do dymisyi, zamianowany został baron Nicolai, były kurator okręgu naukowego kijowskiego, za czasów Gołówina towarzysz ministra oświaty.

— Wystawa wyrobów uczniów i uczenic warszawskiego instytutu głuchoniemych, otwartą została od paru dni w muzeum tegoż instytutu.

— Hr. Wiktor Baworowski z Myszkowa w Tarnopolskiem ofiarował cały swój majątek i bibliotekę na utworzenie instytucyi naukowej i filantropijnej. Majątek ofiarowany przez hr. wynosi przeszło 2,000,000 fl. austr. Biblioteka Baworowskich istnieje we Lwowie pod opieką zosłużonego historyka Henryka Szmita.

Kongresy. W roku bieżącym we wrześniu odbędą się, między innemi, następujące zjazdy naukowe:

1) Piąty zjazd archeologiczny w Tyflisie, poczawszy od 20 września, trwać będzie nie dłużej, jak dwa tygodnie.

2) Piąty kongres międzynarodowy orientalistów, urządzony przez niemieckie Towarzystwo dla badania Wschodu (Deutsche morgenländische Gesellschaft); odbędzie się w Berlinie od 12 do 17 września.

3) Trzeci międzynarodowy kongres geograficzny w Wenecyi, od 15 do 22 września, w połączeniu z międzynarodową wystawą geograficzną, która trwać będzie cały miesiąc, od 1 września przynajmniej do 1 października.

Literatura polska. Jako przedruk z *Wędrowca*, ukazała się broszura p. A. J. Parczewskiego p. t. *Z dolnych Łużyc*. Autor sympatycznem piórem skreślił dzieje, rozwój i ustawiczną walkę z wrogim wpływem żywiołu germańskiego pobratymczego nam plemienia.

— Nakładem redakcyi *Przeglądu Polskiego* w Krakowie wyszła rozprawka geograficzna Ludwika Dzieduszyckiego p. t. *Podróże Nordenskjölda w okolicach bieguna*.

— We Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta, wyszło dzieło prof. Ludwika de Laveaux p. t. *Umysł i jego sprawy, pogląd filozoficzny*.

— *Słownika geograficznego polskiego* zeszyt XVI wyszedł z pod prasy i obejmuje w porządku alfabetycznym miejscowości od Dybowo do Ekaterynopol (czyli Kalnibloty). Z ważniejszych artykułów zawiera: Dynaburg, Dyrwiany, Dymir, Dzików, Dzierzążno, Dziśna, Dziuków, Dźwina, Ejszyszki.

— *Rocznik zbiorowy prac naukowych*, wydawany staraniem i nakładem młodzieży uniwersyteckiej, w tych dniach opuścił prasę za rok 1880. Publikacya ta zawiera następujące prace: F. Olszewskiego, *Policya lekarska w dawnej Polsce;* H. Merczynga, *Kołłątaja i Czackiego projekt urządzenia gimnazyum wołyńskiego i wszystkich innych szkół w gub. wołyńskiej;* H. Konitza, *Rolnictwo i handel za czasów księstwa warszawskiego* (od 1807 do 1815); D. Wasserzuga, *O pęcherzu moczowym;* J. Konitza, *Przyczynek do absorbcyi światła przez węglowodory szeregu aromatycznego;* I. Kona, *O niewymierności liczby e*. W końcu rocznika pomieszczono kronikę bibliograficzną prac studentów uniwersytetu warszawskiego, pomieszczonych w zeszłorocznym roczniku, nagrodzonych przez radę uniwersytecką i wreszcie pomieszczonych w różnych czasopismach polskich, w latach 1879 i 1880.

— W *Bibliotece Mrówki* wyszły dwa studya Włodzimierza Spasowicza: *Władysław Syrokomla i Wincenty Pol.*

— *Przeglądu bibliograficzno-archeologicznego* zeszyt 6 wyszedł z druku i zawiera artykuły następujące: *Z końcem roku; kilka słów o dawnych pieczęciach w ogólności a w szczególności o dawnych pieczęciach polskich*, przez Kazimierza Stronczyńskiego; *Szymon Czechowicz, malarz*, skreślił Wojciech Gerson; *Zbiór medali polskich* D-ra Rewolińskiego, unikaty i nieznane dotąd medale w tymże zbiorze znajdujące się, opisał C. Wilanowski (ciąg dalszy); *O fabrykach i rękodzielach w dawnej Polsce*, przez Juliana Kołaczkowskiego (ciąg dalszy.); *Rozbiory i Krytyki* G. i I. Zielińskich. *Wiadomość historyczna o rodzie Swinków*, przez D-ra Wojciecha Kętrzyńskiego; *Korespondencye; Kronika.*

— *Metody i teorye rozwiązania zadań geometrycznych konkursowych*, przez d-ra Jul. Petersena, przetłomaczył dr. Karol Hertz.

Dziennikarstwo zagraniczne. Pod tyt. *Ameryka*, zaczęło wychodzić w Wiedniu czasopismo, mające na celu zapoznawanie czytelników z życiem społecznem i umysłowem Stanów Zjednoczonych. Pismo to wychodzi pod redakcyą Ottona Maassa, który bawił przez dłuższy czas w Ameryce i poznał życie yankesów we wszystkich jego szczegółach.

— Począwszy od 16 marca r. b. zaczęło wychodzić w Paryżu w odstępach dwutygodniowych czasopismo specyalnie poświęcone sprawom drukarstwa. p. t. *Le Typograph.*

Literatura niemiecka. E. v. Uging, *Russland und England, Parallelen und Gegensätze*, nakładem Wilh. Fryderyka w Lipsku.

— V. Löher F., *Russland Werden und Wollen.* Wydane w Monachium u T. Ackermanna.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły dzieła następujące: Dukszyńskiej Emilii *Portret damy;* Kochanowskiego Romana *Krajobraz;* Kaczkowskiego Teofila *Neapolitańczyk* (figura z terakoty); Łaszczyńskiego Bolesława *Łąka;* Łosia Włodzimierza *Pod figurą;* Ejsmonda Franciszka *Studya;* Perla Edmunda *Szames;* Ruśkiewicza Franciszka *Zatoka morska;* A. Rudzkiego *Trzy akwarele;* Ursyna Niemcewicza *Widok morski* i *Kościół franciszkanów w Grodnie;* Wastkowskiego Franciszka *Nad strugą;* Woronieckiej Stefanii *Trzy akwarele;* Żukowskiej Maryi *Zima.*

— Matejko pracuje obecnie nad obrazem wielkich rozmiarów, przedstawiającym chwilę, gdy na rynku krakowskim w r. 1525 Albert mistrz krzyżaków, a potem książę Prus Wschodnich, składa hołd i przysięga na wierność królowi polskiemu Zygmuntowi I.

— Tegoroczna wystawa Sztuk Pięknych akademii królewskiej w Dreznie, otwartą zostanie w d. 15 maja i trwać będzie do 17 lipca b. r.

— Doroczna wystawa w wiedeńskim Künstlerhausie otwartą zostało w obecności cesarza w d. 21 marca. Malarstwo reprezentowane jest na niej najobficiej, mniej architektura i rzeźba.

Muzyka. W Królewskim teatrze w Madrycie, wystawiono po raz pierwszy *Lohengrina* Wagnera.

— W dniu 1 kwietnia w wielkiej operze paryskiej wystawiono po raz pierwszy nową operę Gounoda p. t. *Le tribut de Zamorra.*

Archeologia. Na gruncie ziemi łotyszów, w Inflantach, w miejscowości zwanej Marienstein, odkryto niedawno cmentarzysko pogańskie. Znaleziono w niem naszyjniki bronzowe i wiele ozdób z tegoż materyału sporządzonych.

Teatr. Na scenie teatru lipskiego wystawiono w d. 19 marca nową komedyę Adolfa L'Arronge'a p. t. *Der Compagnon.*

— Adolf Wibrandt napisał nową sztkę p. t. *Johannes Erdmann*, którą wystawioną została w wiedenskim teatrze dworskim.

Nekrologia. *Dr. Fl. Cenowa*, lekarz znany w piśmiennictwie kaszubskiem pod pseudonimem *Wojkasin ze Slawosena*, zmarł w d. 26 marca w Bukowcu na Kaszubach. Wydawał on pieśni i przysłowia kaszubskie, opisy ziemi kaszubów, uwagi językowe i popularne wykłady dla ludu. Pierwsze swe prace wydał dr. Cenowa w Krakowie w r. 1850, między innemi *Kile słów wó Kaszebach e iich zemi.*

Sprostowanie. W numerze poprzednim, w art. *Różne zdania*, szp. I w. 15 z góry, po wyrazach: „Ale przyrawy...“ brak: *polityczne;* szp. II w. 13 z góry zam. *o ile i t. d.* czyt. *ile;* w. 20 zam. *ścierania* czyt. *ścierania się;* w. 13 z dołu zam. *specyalny* czyt. *genialny.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Марта 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.